

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Miedzy naturą a internetem, czyli siła spokoju w czasach niepokoju

● Jak łączyć życie z dala od wielkomiejskiej metropolii z prowadzeniem firmy działającej w social mediach?

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80 LAT

Piątek-niedziela
2-4.05.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 101 (24 462) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

Magazyn Puls

Maciej Szaszkiewicz:
Nie ma genu zła.
Zabójstwo rodzi się
z braku miłości
str. 25-26

KULTURA

Pionier artystycznego recyklingu

W Polsce pionierem recyklingu był, zaraz po Władysławie Hasiorze czy Tadeuszu Kantorze, nasz gdyński artysta Maksymilian Kasprzowicz. Począwszy od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, aż po ostatnie lata życia wypowiadał się on w assemblażach - kompozycjach reliefowych zbudowanych z rzeczy gotowych, takich jak rękawice robocze, opakowania, pojemniki, puszki, spreparowane czaszki dorszy, liny i tym podobne przedmioty...

Czytaj str. 6

WYBORY CZY PRZYSZŁY PREZYDENT OKAZE SIĘ MĘŻEM STANU NA MIARĘ POLSKICH POTRZEB?

Mamy wybór, ale...



- Politycy nadużywają gry narodowymi barwami, natomiast dobrze, że flaga pojawiła się w kampanii. To w końcu wybory prezydenta Rzeczypospolitej. Szkoda tylko, że nie za bardzo jest na kogo głosować - mówi prof. Kazimierz Kik, politolog. I dodaje, że 18 maja zostanie w domu...
str. 4-5

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



FOT. ADAM JANAKOWSKI

REKLAMA

0011299037

FUN Z GRANIA I WYGRYWANIA!

WYGRAJ NAWET
1 500 000 zł

Gdy grasz,
wszystko gra!

POWAD
70
GIEREK

Zeskanuj kod QR,
zagraj i zgarnij
bonus na start!



Graj na

lotto.pl

i w aplikacji mobilnej LOTTO

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Chciałem napisać jakiś wesoły felieton na majówkę i majowe święta, ale wydarzenia ostatnich dni nie nastrajają mnie do wesołości. Chodzi o dwa wydarzenia - atak nożownika na lekarza w Krakowie oraz kolejne, skandaliczne słowa i zachowania skrajnie prawicowego polityka Grzegorza Brauna.

Morderca z Krakowa, jak podają media, był silnie przeświadczony, że lekarz, którego zamordował "celowo go truił i to przez niego źle się czuł". Nie jestem lekarzem, żeby diagnozować tego człowieka, ale w przypadku polityka Grzegorza Brauna mogę powiedzieć więcej, bo od wielu lat funkcjonuje w polskiej polityce ze swoją nienawistną paranoją. Skandalicznych słów i zachowań, wybryków, przestępstw i fizycznych ataków agresji - widzieliśmy w jego wykonaniu przez ten czas tyle, że aby je opisać nie starczyłoby miejsca w dzisiejszym wydaniu Dziennika Bałtyckiego.

Pamiętam jak kilkanaście lat temu Braun na spotkaniu w Klubie Ronina, powiedział, że „trzeba zabić z tuzin redaktorów „Wyborczej” i ze dwa tuziny z TVN”.

Te skandaliczne słowa oburzyły jedynie niektórych dziennikarzy, a po latach prokuratura umorzyła sprawę, bo jak tłumaczyła - „Braun nie nawoływał do przemocy, a tylko przedstawiał monarchistyczne poglądy na temat modelu państwa”.

Myślę, że to właśnie ta wypowiedź i ta reakcja prokuratury ośmieliły go do kolejnych brutalnych wypowiedzi i działań.

Bo jeżeli można wprost proponować mordowanie jako pomysły na rozwiązanie proble-

FELIETON NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



BRAUN NIGDY NIE POWINIEN KANDYDOWAĆ

mów państwa i jest to traktowane przez prawo jako dopuszczalny pogląd polityczny, to można właściwie wszystko.

I Braun jechał po bandzie. Ostatnie lata jego działalności to seria brutalnych ataków na lekarzy w trakcie covidu, organizowanie ruchów antyszczepionkowych, atakowanie osób, które chciały uchronić nas przed pandemią, prowokacyjne niezakładanie maseczki w Sejmie czy w końcu skandaliczne słowa pod adresem ministra zdrowia Andrzeja Niedzielskiego z PiS - „będziesz pan wisiał”.

Po wybuchu wojny w Ukrainie Braun nie ukrywał swoich prorosyjskich sympatii i jasno pokazywał po której stronie stoi, co zadeklarował też podczas poniedziałkowej debaty wyborczej. W Sejmie konsekwentnie głosował przeciwko wszelkim aktom prawnym uderzającym w Rosję, za to od początku wojny sprzeciwiał się przyjmowaniu uchodźców z Ukrainy, plótł bzdury o „ukrainizacji i judeizacji Polski”, a dokładnie wczoraj wywołał skandal w Białej Podlaskiej ścigając z gmachu urzędu ukraińską flagę.

W ostatnich tygodniach głośno było także o jego brutalnym

ataku na lekarkę w Oleśnicy, która dokonała aborcji w zaawansowanej ciąży, ale były do tego powody medyczne, bo płód był dotknięty ciężką nieuleczalną wadą. Braun wraz z grupą fanatyków wtargnął do gabinetu lekarki i przez kilkadziesiąt minut przetrzymywał ją w gabinecie, nie dopuszczając do pacjentów. Braun dysponuje armią internetowych trolli i na lekarkę natychmiast wylał się brutalny hejt. Jeden z prawicowych blogerów ujawnił jej adres domowy i napisał, że „według prawa Bożego zasłużyła na śmierć”.

Dwa tygodnie później nożownik wtargnął do gabinetu lekarza w Krakowie i zadał mu kilkanaście śmiertelnych ciosów.

Od wielu lat ludzie w internecie publikują tzw. piramidę nienawiści wg Gordona Allporta, która pokazuje, że wszystko zaczyna się od mowy nienawiści, potem mamy dyskryminację, ataki fizyczne, a na końcu eksterminację. „Auschwitz nie spadł z nieba. Nie bądźcie obojętni” - mówił do nas Marian Turski, który odszedł w tym roku. Dlatego nie rozumiem dlaczego Grzegorz

Braun, mimo tylu naruszeń prawa, wciąż może cieszyć się wolnością, a nawet ma immunitet i pobiera gigantyczną pensję europosła Unii Europejskiej! Unii, którą nazywa „eurokołchozem” i którą chce zniszczyć według planu swojego politycznego idola Władimira Putina.

Gdy piszę te słowa, minister Adam Bodnar akurat opublikował komunikat na swoim Facebooku:

„Ekscesy Grzegorza Brauna nie pozostaną bezkarne.

6 maja ok. godz. 12.00 w Parlamencie Europejskim odbędzie się głosowanie nad wnioskiem o uchylenie immunitetu europosła. Prokuratura Okręgowa w Warszawie chce mu postawić zarzuty popełnienia 7 przestępstw. Dwa z nich dotyczą naruszania nieetykalności cielesnej oraz znieważenia lekarza - dyrektora Narodowego Centrum Kardiologii. Trzy kolejne dotyczą różnych czynów chuligańskich, a dwa ostatnie zarzuty - skandalicznego zachowania G. Brauna w polskim Sejmie. (...) W sprawie bulwersującego przebiegu wiecu w Białej Podlaskiej podejmowane są czynności przez policję i prokuraturę. W kontekście wydarzeń w szpitalu w Oleśnicy prowadzone jest intensywne śledztwo, które może doprowadzić do złożenia przez prokuraturę kolejnego wniosku o uchylenie immunitetu. Skandaliczne wypowiedzi w czasie debaty prezydenckiej też są przedmiotem zainteresowania prokuratury”.

Panie ministrze, trzymam za słowo i mam nadzieję, że wreszcie Grzegorz Braun otrzyma adekwatną karę za to całe zło, które od lat szerzy w Polsce.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

23°C
8°C



Wiatr pld.-zach.
24 km/h

Uwaga
Możliwe przelotne opady

Sobota

16°C
7°C



Wiatr zach.
26 km/h

Uwaga
Częściowo słonecznie

Niedziela

13°C
4°C



Wiatr pld.-zach.
17 km/h

Uwaga
Częściowo słonecznie

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

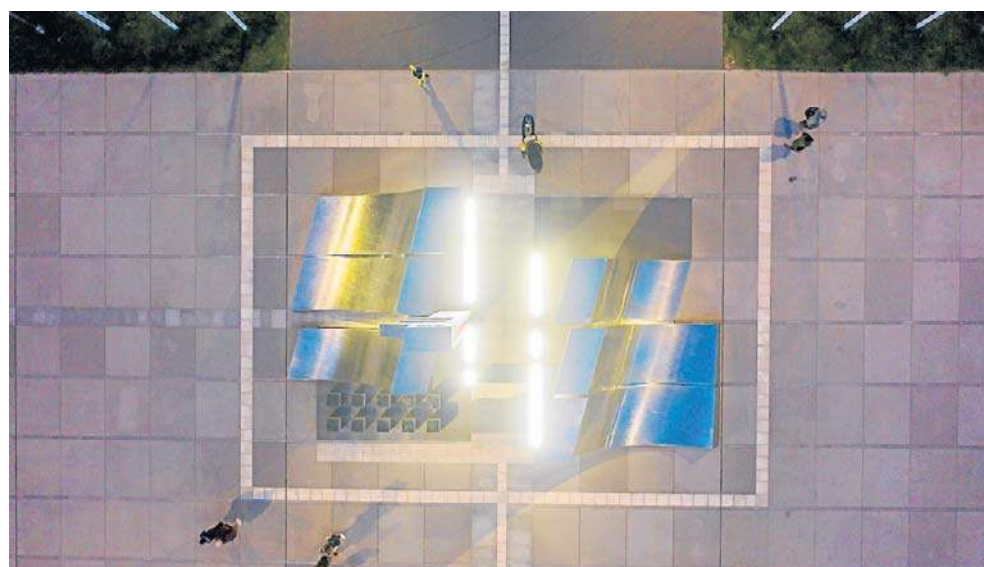
- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Tym razem z powietrza uchwyczone zostało miejsce położone w jednym z cntrów trójmiejskiej metropolii.

Najprawdopodobniej naszym Czytelnikom nie przysporzy trudności odpowiedź na postawione na wstępie pytanie.

Rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku. (AT)

KURSY WALUT

01.05.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	424/431(+)	GBP	498/505(+)
USD	373/380(-)	CHF	452/459 (-)
GBP	498/505(+)		
CHF	452/459 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	424/431(+)
USD	373/380(-)
GBP	498/505(+)
CHF	452/459 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: maciej.krajewski@polskapress.pl

Maciej
Krajewski



POLSKA i ŚWIAT

USA i Ukraina podpisały ważną umowę. To sygnał dla Rosji

Lidia Lemaniak
Waszyngton

USA i Ukraina podpisały umowę o partnerstwie ekonomicznym i utworzeniu Amerykańsko-Ukraińskiego Funduszu Inwestycyjnego na rzecz Odbudowy.

Resort finansów USA poinformował w komunikacie, że „30 kwietnia Stany Zjednoczone i Ukraina podpisały umowę o utworzeniu Amerykańsko-Ukraińskiego Funduszu Inwestycyjnego na rzecz Odbudowy (US-Ukraine Reconstruction Investment Fund)”.
„W uznaniu znaczącego wsparcia finansowego i materialnego, jakiego naród Stanów Zjednoczonych udzielił obronie Ukrainy od czasu pełnoskalowej inwazji Rosji, to partnerstwo gospodarcze umożliwi naszym dwóm krajom współpracę i wspólne inwestowanie, aby zapewnić, że nasze wspólne aktywa, talenty i możliwości przyspieszą odbudowę gospodarczą Ukrainy” – napisano w komunikacie.

Resort zapewnił, że obie strony będą kontynuowały prace, by sfinalizować szczegóły dotyczące zarządzania programem.
Podpisanie umowy potwierdziła wicepremier Ukrainy i minister gospodarki Julija Swyrydenko. Na platformie X napisała, że zarówno USA, jak i Ukraina mają dokonywać wpłat na rzecz funduszu po równo, zaś w przypadku USA jako wkład do funduszu liczyć będzie się wartość przyszłej pomocy wojskowej. Ze strony ukraińskiej

fundusz ma być zasilany w postaci 50 procent dochodów do budżetu państwa z eksploatacji nowych złóż surowców.

„Fundusz będzie następnie inwestował w projekty wydobywcze materiałów krytycznych, ropy naftowej i gazu, a także w powiązaną infrastrukturę i przetwórstwo. Konkretne projekty inwestycyjne zostaną wybrane wspólnie przez Ukrainę i USA. Co ważne, Fundusz może inwestować wyłącznie w Ukrainie. Oczekujemy, że przez pierwsze 10 lat

Warunki wynegocjowanej umowy są znacznie korzystniejsze dla Ukrainy niż początkowe propozycje Stanów Zjednoczonych

zyski i dochody Funduszu nie będą dystrybuowane, ale zamiast tego reinwestowane w Ukrainę – w nowe projekty lub odbudowę. Warunki te będą przedmiotem dalszych dyskusji” – napisała ukraińska wicepremier.

Sekretarz skarbu USA Scott Bessent stwierdził, że podpisana umowa „jasno sygnalizuje Rosji, że administracja Trumpa jest zaangażowana w proces pokojowy skoncentrowany na wolnej, suwerennej i prosperującej Ukrainie w perspektywie długoterminowej”.

– Żeby było jasne: żadne państwo ani osoba, która finansowała lub zaopatrywała rosyjską maszynę wojenną, nie będzie mogła skorzystać z odbudowy Ukrainy – dodał PAP.



Umowę w imieniu obu krajów podpisali szef resortu finansów USA Scott Bessent oraz wicepremier Ukrainy i minister gospodarki Julija Swyrydenko

WARSZAWA

Premier Donald Tusk podziękował w czwartek w Święto Pracy „wszystkim ciężko pracującym Polkom i Polakom”. „To dzięki wam mamy rok przełomu. Ameryka walczy z widmem recesji, Niemcy i Francja cieszą się z wyników w pobliżu zera, a my idziemy po rekordy wzrostu” – napisał szef rządu. Od 1890 r. 1 maja obchodzony jest jako Międzynarodowy Dzień Solidarności Ludzi Pracy. | PAP

”

Ameryka walczy z widmem recesji, Niemcy i Francja cieszą się z wyników w pobliżu zera, a my idziemy po rekordy wzrostu

Donald Tusk, premier RP

21. rocznica wstąpienia Polski do Unii Europejskiej

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

W 21. rocznicę przystąpienia Polski do Unii Europejskiej resorty i politycy w swoich mediach społecznościowych upamiętnili tę datę. Nie zabrakło też nawiązań do polskiej prezydencji w Radzie UE.

Kancelaria Prezydenta przypomniała, że 1 maja 2004 roku pełnoprawne członkostwo we Wspólnocie Unii Europejskiej otrzymała „Polska wraz z dziewięcioma innymi państwami: Cypr, Czechami, Estonią, Litwą, Łotwą, Malta, Słowacją, Słowenią i Węgrami”. Natomiast we wpisie Kancelarii Premiera na portalu X zaznaczono, że te 21 lat to „czas ogromnych zmian i wspólnego rozwoju”. Ten rok to również czas prezydencji Polski w Radzie Unii Europejskiej, o czym również wspomniano: „W tym roku mamy szczególny powód do dumy – Polska sprawuje prezydencję w Radzie UE, współkształtując przyszłość Europy”.

We wpisie Ministerstwa Edukacji Narodowej wskazano, że w tym czasie „Polska stała się częścią wspólnej europejskiej rodziny” i dodano: „To lata rozwoju, współpracy i wspólnych wartości. (...) Niech kolejne lata przynoszą jeszcze więcej możliwości, solidarności i dumy z bycia częścią zjednoczonej Europy!”, również nie zapominając o tym, że w tym



FOT. ADAM JANKOWSKI

1 maja 2004 roku Polska, Cypr, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Malta, Słowacja, Słowenia i Węgry wstąpiły do UE

roku, po trzynastu latach, Polska po raz drugi sprawuje prezydencję w Radzie UE.

„Ten ważny moment otworzył przed naszym krajem nowe perspektywy: rozwój infrastruktury, wzrost gospodarczy, większe możliwości edukacyjne i zawodowe” – napisało w serwisie X Ministerstwo Rozwoju i Technologii.

„UE nie jest tylko wspólnotą ekonomicznych wartości. To nade wszystko wspólnota wolności i demokracji. Daje nam poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Dobrze być Polakiem w zjednoczonej Europie!” – na-

pisał minister ds. odbudowy po powodzi Marcin Kierwiński.

Wejście Polski do Unii Europejskiej poprzedziły kilkunastoletnie starania i negocjacje prowadzone przez kilka rządów. Ostatecznie zdecydowało o tym ogólnopolskie referendum, w którym za wejściem Polski do UE opowiedziała się zdecydowana większość jego uczestników.

Fala powrotów z emigracji zarobkowej

– Od wejścia do UE polski rynek pracy przeszedł ogromną transformację. W efekcie

od kilku lat obserwujemy wyraźną falę powrotów z emigracji zarobkowej – powiedziała PAP ekspertka zarządzania z Uniwersytetu SWPS Alicja Kotłowska. Dodała, że wyzwaniem jest jakość zatrudnienia, w tym długie godziny pracy.

– Wysokość wynagrodzeń systematycznie rośnie i zbliża się do poziomu w krajach Europy Zachodniej – minimalna płaca w Polsce już dziś plasuje nas w tej samej grupie, co Hiszpania czy Portugalia. W efekcie od kilku lat obserwujemy wyraźną falę powrotów z emigracji zarobkowej – coraz więcej Polaków dostrzega, że atrakcyjne warunki życia i pracy można dziś znaleźć także w kraju – zauważyła Kotłowska.

Zdaniem ekspertki dużym wyzwaniem wciąż jest jakość zatrudnienia. Pod tym względem – jak dodała – Polska plasuje się na końcu listy według statystyki European Job Quality Index. Kotłowska wskazała, że problemem są długie godziny pracy, brak równowagi między życiem zawodowym a prywatnym oraz częste wypalenie zawodowe.

Ekspertka, powołując się na badania Agencji Eurofound, zaznaczyła, że 62 procent Polaków czuje się zmęczonych pracą, podczas gdy średnia unijna wynosi 37 proc. W Niemczech to zaledwie 22 proc. PAP

Rekordowo drogie wybory prezydenckie. Będą kosztować ponad pół miliarda złotych

Lidia Lemaniak
Warszawa

Tegoroczne wybory prezydenckie – według wstępnych szacunków – będą kosztować 550 milionów złotych. Poinformował o tym szef Krajowego Biura Wyborczego Rafał Tkacz.

Na organizację i przeprowadzenie wyborów prezydenckich w 2020 roku wydano ponad 304 mln zł, przy czym ta kwota

obejmowała również przygotowania do wyborów korespondencyjnych, do których ostatecznie nie doszło. W 2015 roku koszt wyborów prezydenckich wyniósł ponad 174 mln zł.

Szef Krajowego Biura Wyborczego Rafał Tkacz w rozmowie z PAP poinformował, że wstępny szacunkowy koszt tegorocznych wyborów prezydenckich to 550 mln zł. Pytany o powody takiego wzrostu w stosunku do kwoty sprzed pięciu lat, wyjaśnił, że chodzi

przede wszystkim o wzrost diet członków komisji wyborczych.

– Wtedy, kiedy mieliśmy problemy ze skompletowaniem składów obwodowych komisji wyborczych, były one wyraźnie niższe. Obecnie dla przewodniczącego komisji przewidziana jest dieta w wysokości 700 złotych, dla jego zastępcy – 600 złotych, a dla szeregowego członka – 500 złotych. W przypadku drugiej tury mówimy o 3/4 tych kwot. Wreszcie możemy powiedzieć, że dieta jest

adekwatna do tej pracy, którą wykonują członkowie komisji, co przełożyło się też na zainteresowanie jej wykonywaniem – wyjaśnił Tkacz.

Szef KBW poinformował, że sam druk kart wyborczych to niewielka część całej kwoty – ponad 6 mln zł. Podkreślił, że zgodnie z uchwałą PKW drukowanych jest ich zawsze tyle, ile wyborców uprawnionych do głosowania, choć nie są one dzielone w 100 proc. między komisje. PAP

STYL ŻYCIA

Między naturą, a internetem. Ciepły uśmiech, spokój, autentyczność - kanał lifestyle'owy Green Canoe prowadzony przez Joannę Marciniak-Wróblewską od lat przyciąga rzesze widzów spragnionych prawdziwego kontaktu i inspiracji. W rozmowie z nami opowiada o swojej drodze, pracy w sieci bez pogoni za zasięgami, życiu w sercu kaszubskiej natury oraz o tym, czym właściwie jest szczęście. **STR. 8-9**



FOT. ARCH. DOMOWE

ŻYCIE STUDENCKIE

Juwenalia Gdańskie - więcej niż impreza!

To z pewnością jedno z najważniejszych wydarzeń w studenckim kalendarzu. Jak zmieniały się Juwenalia w Gdańsku, jak wyglądają dziś? **STR. 10**

WYSZCZEKANY CELEBRYTA ALBO INSTRUMENT ZALEŻNY OD WODZA

Biało-czerwona flaga Rzeczypospolitej Polskiej zagrała główne role w przedwyborczych debatach prezydenckich. – Politycy nadużywają gry narodowymi barwami, natomiast dobrze, że flaga pojawiła się w kampanii. To w końcu wybory prezydenta Rzeczypospolitej. Szkoda tylko, że nie za bardzo jest na kogo głosować – mówi prof. Kazimierz Kik, politolog

Tomasz Chudzyński

Gię flagami, w tym głównie tę w narodowych barwach, biało-czerwoną, którą dziś świętujemy, pamiętamy z debat kandydatów na prezydenta RP bardziej nawet niż programowe deklaracje biorących udział w wyścigu o Pałac Prezydencki. Zaczęło się w Końskich, kiedy Karol Nawrocki postawił przed Rafałem Trzaskowskim flagę tęczową, a przed sobą flagę Rzeczypospolitej. – Pan pod tęczową, a ja pod biało-czerwoną – mówił wówczas Nawrocki.

W ostatni poniedziałek, na debacie „Super Expressu”, Trzaskowski postawił przed sobą narodowe barwy. Była to ta sama flaga, którą w Końskich miał Nawrocki, ale po debacie zostawił ją przy swoim stanowisku.

– To jest flaga, z którą pan Karol Nawrocki przyszedł na debatę do Końskich. Jak zgąsły światła, to ją porzucił. Wszyscy wiemy, co oznacza porzucić flagę na placu boju. Flagi się nie porzuca i dlatego ją tutaj mam – stwierdził prezydent Warszawy.

– Karol Nawrocki zostawił tę flagę w Końskich na dowód zwycięstwa. Polscy żołnierze pod Monte Cassino też zostawili flagę po bitwie – próbował później tłumaczyć Jacek Sasin, były wicepremier w rządzie Prawa i Sprawiedliwości.

– Politycy nadużywają gry narodowymi barwami, natomiast dobrze, że flaga pojawiła się w taki podmiotowy sposób w kampanii. To w końcu wy-

bory prezydenta Rzeczypospolitej. Pamiętamy wszyscy, jak długo trzeba było pracować, by Polacy poczuili przywiązanie do flagi – komentuje tę część debat politolog, profesor Kazimierz Kik.

Krajobraz po debatach

Do pierwszej tury pozostało kilkanaście dni. To ostatnia prosta dla większości startujących kandydatów.

– Nie mam na kogo głosować. Zostanę w domu. To najgłupsze stwierdzenie, jakie można usły-

szęć od profesora politologii. Zadałem sobie jednak pytanie: czy profesor politologii ma działać w interesie partyjnym, czy interesie państwa? I taką odpowiedź na nie znalazłem – tłumaczy prof. Kazimierz Kik.

Profesora słynącego z bezpardonowej krytyki polskiej klasy politycznej pytaliśmy o to, czy kolejna debata, która odbyła się w zeszły poniedziałek, wpłynie na wyborców.

– Żaden z kandydatów nie spełnia wymogów, które w mojej opinii powinien spełniać prezydent RP. Każda z debat mnie

w tym osądzie utwierdziła. Większość z nich nadawałaby się bardzo dobrze do startu w wyborach parlamentarnych, w czasie których wybieramy rząd, czyli w teorii organ złożony z ekspertów w sprawach gospodarki, bezpieczeństwa, obronności, prawa czy polityki społecznej, którzy są zorientowani politycznie. Oczywiście oprócz tych, którzy nie przeszliby badań psychiatrycznych. Jednak wybory prezydenckie to zupełnie co innego niż wybory parlamentarne – zaznacza Kazimierz Kik.

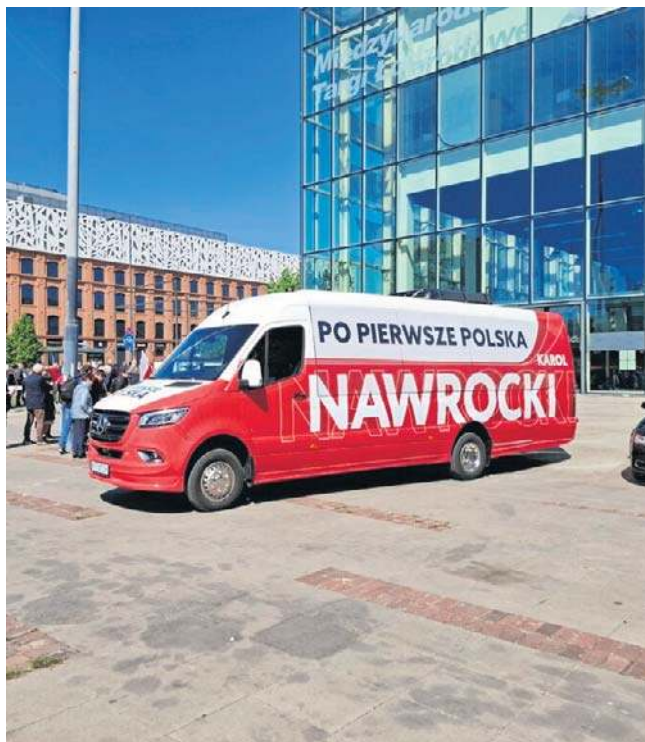
Okoliczności wyborów

– Powiedzieć, że żyjemy w przełomowych czasach, to nic nie powiedzieć. Obserwujemy naocznie odejście od klasycznego Pax Americana, a trzy potężne systemy polityczne – chiński, rosyjski i ostatnio amerykański – są mało demokratyczne i liberalne. Na to nakłada się zaniepokojenie o Unię Europejską, bo Wspólnota przestaje być potrzebna Stanom Zjednoczonym. Nie wolno zapominać o wojnie rosyjsko-ukraińskiej, będącej w rzeczywistości konfliktem o odbudowanie rosyjskiego, im-

perialnego carstwa. Z tej perspektywy wybory prezydenckie w Polsce mają zupełnie inny niż poprzednie wymiar. Prezydentem Rzeczypospolitej w tej dynamice międzynarodowych przemian powinien być ktoś, kto będzie partnerem dla innych szefów państw. Czy ma to być wyszczekany, telewizyjny celebryta? – zastanawia się prof. Kik.

Po pierwsze...

Profesor Kik weryfikuje kandydatury przez trzy kryteria. Pierwszym jest zapanowanie nad polaryzacyjnym podziałem



Kandydaci, zwłaszcza ci ze szczytów sondażowych rankingów, chętnie wykorzystują w kampanii biel i czerwień

polskiego społeczeństwa. Polaryzacja od lat jest bowiem najskuteczniejszym narzędziem motywowania polskiego elektoratu.

- Podzielony jest dziś cały świat, w tym Unia Europejska, wewnętrznie rozbita, m.in. w kwestiach pomysłów na federalizację. I to pogłębiająca się polaryzacja, w tym w Polsce, jest dziś najpoważniejszym zagrożeniem, zwłaszcza że podział wyznaczają poglądy, a te są oparte na emocjach. Nowy prezydent powinien być w stanie powstrzymać podział, nie mówiąc już o przywróceniu wspólnoty Polaków. W tym rozumieniu potrzebujemy kandydatury niebędącej wykwarem pomysłu jakiegokolwiek lidera partyjnego, który zakłada, że będzie miał swojego człowieka w Pałacu Prezydenckim, który będzie działał na korzyść takiej czy innej partii. Kto z kandydatów spełnia warunek, że prezydentem Rzeczypospolitej powinna być osoba zdolna do uratowania Polski przed dalszą polaryzacją, podziałami społecznymi czy rozgrywaniami przez sąsiadów? Kogoś takiego nie ma. Paradoksem jest bowiem to, że czego innego dziś potrzebuje Polska, a czego innego największe ugrupowania polityczne - mówi Kazimierz Kik.

Zaznaczmy, że zarówno Rafał Trzaskowski, jak i Karol Nawrocki, czyli kandydaci mający najwyższe poparcie w sondażach, deklarują swoją niezależność od szefów odpowiednio Koalicji Obywatelskiej jak i Prawa i Sprawiedliwości. Przy okazji starają się usilnie przylepić sobie łatki odpowiedzialności „wiceTuska” oraz „wyboru prezesa Kaczyńskiego” (Karol Nawrocki sam powiedział o sobie w ten sposób w czasie swojej wyborczej konwencji, choć oficjalnie jest „kandydatem obywatelskim popieranym przez PiS”).

- Mamy generalnie dwa rodzaje kandydatów startujących w wyborach prezydenckich. Pierwsza grupa to nominaci partyjni. Druga to osoby, które ubijają swoje interesy na starcie - chciałyby zaszcześcić społecznie swoje nazwisko, np. by przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi utworzyć nowe ugrupowanie i dostać się do Sejmu. Są też i tacy, którzy albo potrzebują badań medycznych, albo mówią, żeby na nich nie głosować, choć w wyborach startują. Oczywiście wiemy, że liczą się tylko kandydaci KO i PiS. Demokratycznej gry nie da się prowadzić w tak podzielonym społeczeństwie - mówi nasz rozmówca.

Po drugie...

Profesor Kik mówi o drugim warunku, który powinien spełniać przyszły prezydent RP. To profesjonalizm.

- Potrzebujemy kandydata przygotowanego do pełnienia zadań przyznanych przez konstytucję do zadań na tym stanowisku. Na ten wymóg składają się inteligencja, doświadczenie zawodowe, ale też życiowe oraz rozumienie kwestii międzynarodowych. Prezydent to nie tylko jednoś narod, ale także i bezpieczeństwo Polski. W tym szczególnym czasie nie możemy oczekiwać, że niedoświadczona głowa państwa będzie się do swojej roli przyuczać, bo byłby to dla Polski czas stracony. Nie ma czasu na dojrzewanie. To musi być osoba gotowa do pełnienia funkcji od pierwszego dnia po wyborach, mogąca od razu być równorzędnym partnerem dla przywódców zagranicznych. Ważna jest także charyzma, czyli uznanie jego doświadczenia i profesjonalizmu przez społeczeństwo. Możemy wyraźnie wskazać, że jedynym kandydatem w stawce, spełniający warunek „prezydenckiego” profesjonalizmu, jest Rafał Trza-



FOT. JAKUB STEINBORN

Gdańską tradycją są obchody Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej na Górze Gradowej

skowski. Zna języki, był ministrem, jest prezydentem dużego miasta. Wybija się wyraźnie, ale niezbyt spełnia warunki pierwszego kryterium. Będzie przedstawicielem jednej z sił politycznych, od razu ją wzmocni przez przycięcie skrzydeł innych sił - podkreśla Kazimierz Kik.

I po trzecie...

Wyborcy. To według analizy profesora trzeci aspekt, który powinien warunkować najlepszego kandydata.

- Mamy prawo przerażać się jakością polskiej klasy politycz-

nej i tzw. negatywnymi mechanizmami doboru jej przedstawicieli. Ale dzisiejszy obraz polskiego wyborcy jest równie przerażający. Czytałem po debatach opinie komentatorów, polityków, ale również komentarze w internecie. To są rzeczy straszne. Widzieliśmy na debatach, że niektórzy kandydaci najchętniej by się na siebie rzucili, a ich zwolennicy byłiby w takich działaniach jeszcze bardziej radykalni - wskazuje Kazimierz Kik.

Podobnie jak kandydatów na prezydenta elektorat, który

decyduje o ich wyborze, można, zdaniem Kazimierza Kika, łatwo usystematyzować.

- 90 procent to wyborcy opierający swoje postawy, swoje decyzje o poglądy ukształtowane na emocjach, a nie na wiedzy. Takich, którzy potrafią analizować przekaz narzucany przez kandydatów za pomocą wiedzy, jest 10 procent albo i mniej. Z tego wynika pewien podział polskich wyborców, podobny do tych, który charakteryzuje kandydatów. Pierwszą grupę stanowi elektorat partyjny, liczny, który głosuje zgodnie z dyscypliną danego ugrupowania. Dość odporny na argumenty. Kolejną stanowią ci, którzy są poza partiami, ale głosują, dokonując wyboru przez oglądanie owych olimpiad, jak określiam debaty. Są oczywiście i tacy, którzy mają to wszystko gdzieś, ale tych siłą rzeczy trudno nazywać wyborcami, a już na pewno aktywnymi wyborcami. W tak

„sformatowanej” Polsce trudno o nową jakość w polityce - tłumaczy politolog.

Zaprzeczenie logiki

Nasz rozmówca określa wręcz, że polska polityka jest dziś „wywrócona do góry nogami”.

- Ludzie decydujący się na polityczną karierę kierują się względami ekonomicznymi w znacznej mierze. Okres, gdy decydująca była ideologia, minął. W dobie globalizacji neoliberalnej nastąpiło przemieszanie struktur społecznych. Nie ma właściwie klasy robotniczej, klasy średniej w tradycyjnym ujęciu. Stąd nie mamy partii masowych, tylko wodzowskie. Widzimy to wszystko w tej kampanii - tłumaczy prof. Kik. - Oczywiście to wszystko nie oznacza, że nie ma w polskiej polityce, w polskich partiach ludzi inteligentnych, doświadczonych, wysoko wykształconych, profesjonalnie przygotowanych do pełnienia roli prezydenta. Podam przykład personalny. Np. w PiS jest prof. Andrzej Nowak. On choćby w kwestiach stosunków międzynarodowych jest o wiele lepiej przygotowany niż Karol Nawrocki, który do budowania jedności wspólnoty polskiej nie nadaje się kompletnie. Problem w tym, że PiS, czyli Jarosław Kaczyński, nie potrzebuje równorzędnego lub mądrzejszego od siebie prezydenta. On musi mieć wykonawcę uzależnionego od siebie. W każdej polskiej partii wodzowskiej profesjonalista nie ma szans, bo nie będzie wykonawcą woli wodza. Tymczasem tu chodzi o Polskę, interes narodowy, a nie o rozgrywki międzypartyjne oraz wskazywanie użytecznych instrumentów liderów poszczególnych ugrupowań. Brak cennych kandydatur w wyborach prezydenckich jest zaprzeczeniem logiki tych wyborów.

MORZE W BIELI I CZERWIENI

Trójiasto ma sporo historycznych akcentów, na których przypomnienie idealnym momentem jest ustanowione 21 lat temu Święto Flagi.

Związane są z morzem, a można je znaleźć w placówkach muzealnych. Wciąż „funkcjonujące” bandery można zobaczyć nad okrętem-muzeum ORP „Błyskawica” oraz żaglowcem „Dar Pomorza”.

Unikalną kolekcję bander ma swoich zbiorach Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. W placówce znajduje się ponad 160 bander, w tym kilkanaście pozyskanych z zagranicy. Jak powiedział w jednym z wywiadów Aleksander Gosk, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny, są to polskie bandery pochodzące z różnych czasów i jednostek - zarówno okrętów, jak i statków handlowych czy jednostek wojskowych związanych najczęściej z Marynarką Wojenną.

Co ważne, w przypadku wycofywanych ze służby okrętów Marynarki Wojennej praktyką, zapisaną w stosownych przepisach, jest przekazywanie gdyńskiej placówce ich bander i proporców.

- Przejmujemy te atrybuty i są one bądź eksponowane na wystawie stałej, bądź przechowywane w magazynach, gdzie czekają na swój czas, czyli na przykład moment, gdy będziemy organizować wystawy czasowe poświęcone przykładowo konkretnemu okrętowi czy grupie okrętów” - powiedział w rozmowie z PAP Aleksander Gosk.

Z kolei w kolekcji Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku znajduje się około pięćdziesiąt flag państwowych z godłem II RP i PRL, pełniących rolę bandery cywilnej i handlowej na wodach morskich oraz bandery wojenne. Do najcenniejszych należą barwy z przedwojennych jednostek jak: s.s. „Kościuszko” czy m.s. „Piłsudski”. Weksylium z „Piłsudskiego” ocalał Władysław Milewski, budowniczy i mechanik na tym transatlantyku (1934-1936). Są także bandery z najsłynniejszego polskiego statku pasażerskiego „Batory”. Szczególnie cenna jest bandera z s.s. „Kraków”, eksploatowanego przez Towarzystwo „Sarmacja” w latach 1920-1922. To jedna z najstarszych polskich bander handlowych. W kolekcji są także bandery armatorskie, np. PŻM, PLO czy Żegluga Gdańskiej oraz bandery ze słynnych jachtów: s.y. „Opty” i s.y. „Otago”.

Niezwykle ciekawym eksponatem jest imponujących rozmiarów bandera Polskiej Marynarki Wojennej z okresu II Rzeczypospolitej. Eksponat jest darem dla Muzeum od Towarzystwa Przyjaciół Narodowego Muzeum Morskiego. Nowy eksponat - bandera, jest sygnowana napisem POLAND oraz cyfrą 2. Wykonana została z pasów tkaniny wełnianej. W białą jej część jest wszyta tarcza z godłem, a bok linowy został wzmocniony gurtem z wszytą linką oraz mosiężnym uszkiem. Odcień czerwieni na banderze odpowiada barwie cynobru (wg rozporządzenia prezydenta Rzeczy-

pospolitej z grudnia 1927 r.), który obowiązywał też w siłach zbrojnych RP w czasie II Wojny Światowej najpierw we Francji, a później w Wielkiej Brytanii.

Zaznaczmy, bandera jest flagą podnoszoną na okręcie, oznacza przynależność jednostki do sił zbrojnych i stanowi jednocześnie sztandar jej załogi. Składa się z dwóch pasów poziomych, białego i czerwonego, z trójkątnym wycięciem na końcu oraz godła narodowego w postaci orła białego na czerwonej tarczy herbowej umieszczonej w środku białego pola. Bandery podobne do nowego nabytku NMM, były podwieszane na drzewcu rufowym w czasie postoju jednostki w porcie lub na kotwicy, oficjalnych wizyt w portach obcych lub podczas uroczystości, np. przejmowania okrętów i podnoszenia na nich bandery. Z zachowaniem polskiego ceremoniału morskiego odbywały się też pogrzeby marynarzy, wówczas ciała były przykryte banderami. Dodajmy, bandery są chętnie wykorzystywane przez mieszkańców do manifestowania patriotycznych uczuć, np. w czasie wydarzeń sportowych. Jak jednak podkreśla wielu ekspertów, „cywilni” mieszkańcy nie powinni, co się dość często zdarza, umieszczać przed domami flag z godłem, przynależnym misjom dyplomatycznym, wojskowym oraz bander, do których prawo mają polskie statki i okręty wojenne. Do takich celów powinny być wykorzystywane flagi narodowe, bez godła.

MAKSYMILIAN KASPROWICZ – PIONIER ARTYSTYCZNEGO RECYKLINGU

Muzeum Miasta Gdyni posiada największy w Polsce zbiór prac gdyńskiego malarza Maksymiliana Kasprowicza reprezentujący każdy z etapów jego życia i liczący niemal 600 obiektów

Grażyna Antoniewicz

Był on malarzem nieustannie poszukującym nowych środków wyrazu. Należał także do tych artystów, którzy czerpali inspirację z bieżących wydarzeń także w sferze społecznej, jak i artystycznej.

- Zanim pojawiła się powszechna świadomość w zakresie ekologii, zanim wdrożono konieczność segregowania śmieci i recyklingu, artyści zauważyli potencjał tkwiący w odpadkach, zużytych przedmiotach, opakowaniach, słowem - śmieciach - opowiada historyczka sztuki dr Anna Śliwa. - W Polsce pionierem recyklingu był, zaraz po Władysławie Hasiorze czy Tadeuszu Kantorze, nasz gdyński artysta Maksymilian Kasprowicz. Począwszy od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, aż po ostatnie lata życia wypowiadał się on w asamblażach - kompozycjach reliefowych zbudowanych z rzeczy gotowych, takich jak rękawice robocze, opakowania, pojemniki, puszki, spreparowane czaszki dorszy, liny, i tym podobne przedmioty, określanych przez samego artystę mianem collage. Zamiast wyrzucać, generować niepotrzebne odpady, artystycznie je przetwarzał, tworząc niezwykle oddziałujące na widza asambláže. Prace te tematycznie nawiązują do wydarzeń gdyńskich lub wątków marynistycznych.

Ukryte w magazynie

Aby się dowiedzieć jak wyglądały te niezwykle dzieła sztuki zaglądamy od magazynu Muzeum Miasta Gdyni. Wśród nich ważne miejsce zajmuje kolaż „Tragedia Gdyńska II”, symbolicznie nawiązujący do tragicznych wydarzeń grudnia 1970 roku, który powstał 10 lat później, bo to jest już rok 1980.

- Na tym obrazie widzimy umownie zaznaczoną sylwetkę robotnika, stworzoną z niebieskich rękawic, unoszącą się nad wyciągniętymi w górę brązowymi rękawicami - opowiada dr Anna Śliwa. - Artysta posłużył się prostymi środkami



„Tryptyk gdański 80” - fragment kolażu

wyrazu, wykorzystał zwykłe robotnicze rękawice, które wkleił w swoją kompozycję. Te nieartystyczne, użytkowe elementy robotniczego stroju stały się częścią dzieła sztuki, wnosząc w nie szczególnie silny ładunek emocjonalny. Las brązowych rękawic świetnie też oddaje masowość gdyńskich protestów. Jak wiemy strajkowali bowiem nie tylko stoczniovcy, ale także pracownicy wielu innych przedsiębiorstw, w tym portu czy „Dalmoru”. Rękawice, na co dzień okrywające dłonie pracujących, wydają się obrazować siłę tłumu połączonego wspólnym działaniem. Tę szczególną więź, międzyludzką solidarność, udało się Kasprowiczowi uchwycić.

Czerwone liny cumownicze

Rękawice zobaczymy w pracach „Epitafium”, „Bez tytułu” i innych.

- Metoda powstawania tych dzieł jest dość podobna - opowiada Anna Śliwa. - Artysta korzystał z zużytych rękawic robotniczych, które następnie przytwierdzał do podłoża i malował. Tu akurat jest płyta, ale mamy też inne podłoża, na przykład płóciennę. Maksymilian Kasprowicz nazywał te swoje prace kolażami.

Tymczasem, kiedy mówimy o kolażach, to myślimy przede wszystkim o pracach płaskich, stworzonych z pa-

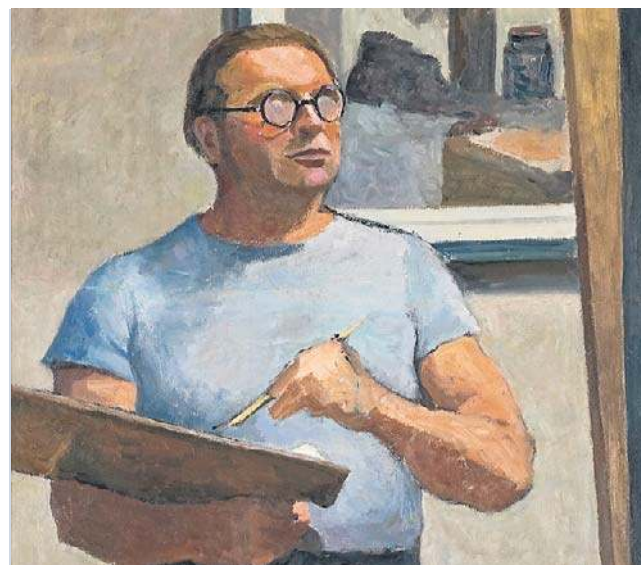
pieru - fotografii, kawałków gazet, ilustracji, ale tu mamy jednak asamblaż, czyli użycie jako tworzywa przestrzennych przedmiotów. W skrócie asamblaż to trójwymiarowy kolaż.

W pracy „Cumownikom” artysta wykorzystał na przykład liny cumownicze.

Kompozycja z puszek i gałganków

W muzealnym magazynie oglądamy cykl prac białych z lat 70. To abstrakcyjne kompozycje, z wykorzystaniem akcesoriów, które artysta miał w pracowni, a więc puszek na farby, pojemników, pudełek.

Bardzo ciekawa, praca to „Charitas”.



Autoportret Maksymiliana Kasprowicza

- Proszę zobaczyć z jak niesamowitych elementów została wykonana - opowiada Anna Śliwa. - Mamy oczywiście, puszki, pojemniki, słoiki, ale też fragmenty opakowań po czekoladkach, resztki po różnego rodzaju produktach. Z tego wszystkiego uformował on rodzaj krzyża na barwnym tle, powtórnie wykorzystując rzeczy, które miał w pracowni.

Równie intrygująca jest praca „Bez tytułu” z 1982 roku, która zawiera fragmenty materiałów, szmatek, gałganków, ale też rzeczy, jakie artysta miał w pracowni: nakrętki od słoików, pokrywki puszek z farbami, opakowania po lekach.

W pracowni przy Abrahamie

Maksymilian Kasprowicz był z Gdynią związany już od 1935 roku. Tu miał też pracownię przy ulicy Abrahama 48 A/26, tam mieszkał.

- Artysta bardzo dokładnie opisywał swoje prace, z tyłu na odwrocie obrazu jest tytuł, ale nierzadko mamy też adres pracowni - mówi Anna Śliwa. - Po jego śmierci cała przebogata spuścizna, wyposażenie pracowni i około 600 dzieł, w których skład wchodziło malarstwo grafika kolaże, asambláže ale też matryce graficzne, mnóstwo dokumentów i fotografii, liczne książki z jego prywatnej biblioteki trafiły do naszego muzeum.

- W tej kolekcji są akty, ale też wiele świetnych portretów jego rodziców, przyjaciół, znajomych i autoportretów - dodaje. - Można prześledzić jak wyglądał w różnych okresach życia. Mamy też kompozycje abstrakcyjne, obrazy z egzotycznych podróży.

Pejzaż malowany z okna

Maksymilian Kasprowicz urodził się 12 października 1906 r. w Swarzędzu, zmarł 1 grudnia 1986 r. w Gdyni. Był synem szewca Leona Kasprowicza i Marii z d. Wierzbńskiej. Miał brata i macochę - Rozalię z domu Obst. Po ukończeniu szkoły w Swarzędzu od 1921 do 1925 r. uczył się u mistrza malarskiego W. Głębockiego w Poznaniu. Po studiach zaczął pracować jako malarz i projektant wewnątrz. W 1935 r. przeniósł się do Gdyni. Znalazł się w grupie Gdyńskich Artystów Plastyków, przekształconej w 1937 r. w ZZPAP. Należał także do Confederation Internationale des Artistes w Brukseli. Okres okupacji spędził w Gdyni pracując w elektrowni jako pomocnik malarza. Nie zarzucił jednak ołówka i pędzla. W kolorowym świecie sztuki szukał ucieczki od ponurej rzeczywistości. Powstały wówczas liczne pejzaże gdyńskie - malowane przeważnie z okna, oraz liczne portrety - studia psychologiczne, kolorowe akty i autoportrety.

Po wojnie Kasprowicz w 1945 roku pracował w przyfrontowej pracowni graficznej, pomagał w organizowaniu rekwizytów dla pierwszego gdyńskiego teatru, organizował wystawy. Początkowo działał w Pracowni Gdańskiej Informacji i Propagandy, a następnie był referentem ds. plastyki w Wojewódzkim Wydziale Kultury i Sztuki. W 1947 roku rozpoczął pracę Liceum Sztuk Plastycznych w Orłowie. W latach 1951-1952 prowadził pracownię Malarstwa i Rysunku na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. Od 1952 do 1976 roku pracował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Uprawiał malarstwo sztalugowe, ściennie, grafikę i rysunek. Malował akty, pejzaże miejskie i widoki polskiego wybrzeża, portrety. Od 1933 roku miał około 40 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Artysta pochowany jest na cmentarzu Witomińskim.

Twórczość artystyczna Kasprowicza to było ciągle poszukiwanie odmiennych, nowych środków artystycznych, zamiłowanie do ryzyka i eksperymentu spowodowały ogromną różnorodność zarówno tematyką, jak i formalną jego twórczości.

- Czując odpowiedzialność za powierzony nam kolekcję od lat dokładamy starań, aby spuścizna po Kasprowiczu pozostała nienaruszona. Sukcesywnie poddajemy konserwacji jego prace - mówi Anna Śliwa. - Muzeum Miasta Gdyni otrzymało dofinansowanie ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Wspieranie działań muzealnych” na projekt „Konserwacja 12 asamblażi Maksymiliana Kasprowicza w 100-lecie Gdyni” w wysokości 50 tys. zł. Zobaczymy je jesienią na wystawie czasowej w Muzeum Miasta Gdyni, a jeden z asamblażi „Tragedia gdyńska II” od 2026 r. zostanie zaprezentowany na wystawie stałej w Muzeum Historii Polski w Warszawie.

KIEDY MÓWIMY PROCESOR, TO MYŚLIMY INTEL. TAK BYŁO DO NIEDAWNA, A JAK BĘDZIE?

Firma będąca przez dekady liderem przemysłu procesorów znajduje się na rozdrożu, w czasie gdy światowy popyt na chipy z roku na rok rośnie. Co doprowadziło do tego, że jeden z największych koncernów technologicznych ma poważne kłopoty?

Jacek Klein

Laledwie w czerwcu 2024 roku ruszyła gigantyczna inwestycja Intela pod Wrocławiem. Amerykański koncern planował wydać 4,6 miliarda dolarów na nowy zakład integracji i testowania półprzewodników. Dzięki temu powstałoby tam 2000 miejsc pracy.

Nowa fabryka w połączeniu z istniejącym zakładem produkcji tak zwanych wafli krzemowych w Irlandii oraz drugim planowanym zakładem produkcji wafli krzemowych w Magdeburgu w Niemczech, a także z centrum badawczym w Gdańsku miały tworzyć pierwszy łańcuch dostaw w dziedzinie produkcji półprzewodnikowych układów scalonych.

Trzy miesiące później było już po ptakach. We wrześniu Intel oznajmił, że wstrzymuje inwestycję nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech. Zamiast miliardów na fabryki półprzewodników koncern zdecydował się na kilkadziesiąt miliardów oszczędności, by ratować swoją sytuację. A ta nie jest łatwa. Przy okazji podsumowania wyników po pierwszym kwartale tego roku wyszło, że firma przeprowadzi kolejną falę cięć zatrudnienia. Może ona objąć, jak szacują branżowe media i agencje, nawet 20 tysięcy pracowników. Koncern zatrudnia obecnie prawie 110 tys. osób na całym świecie. W ubiegłym roku było to ponad 120 tysięcy, jednak jesienią cięcia zmniejszyły liczbę etatów o 15 tysięcy.

Dzisiaj świat zastanawia się, czy to początek końca jednej z najbardziej znanych firm na świecie. Końca oznaczającego sprzedaż w kawałkach innym firmom, bankructwo, ograniczenie biznesu i spadek do drugiej ligi. A może początek odrodzenia i powrót na fotel rozdającego karty w świecie opo-
wanym przez procesory.

Do 2021 roku biznes Intela rośł

Cztery lata temu Intel zamknął rok na poziomie 77 mld dolarów przychodów, a cztery wcześniejsze lata sięgały poziomu 70 mld dolarów. Co wię-



Lip-Bu Tan, CEO Intel, podczas prezentacji planów firmy w zakresie rozwoju technologii procesorowych

cej, firma w tamtym okresie na czysto zarabiała 20 mld dolarów i więcej rocznie. W 2022 roku przychody skurczyły się do 60 mld, w 2023 i 2024 roku do 52 mld, a zysk na czysto do niecałych 2 mld dolarów.

Już przed zadyszką w 2022 roku na rynku rosły obawy o przyszłe wyniki finansowe Intela. Koncern będący liderem na rynku chipów nie do końca potrafił odczytać kierunek, w jakim podąża technologia. Pierwszym sygnałem było niedostrzeżenie potencjału drzemiącego w smartfonach. W rezultacie stracił praktycznie cały rynek tych urządzeń, opanowany przez takie firmy, jak MediaTek czy Qualcomm. W dodatku rynek dynamicznie rosnący w odróżnieniu od rynku komputerów stacjonarnych i laptopów.

Rynek smartfonów mógł być rozczarowaniem, ale nie zachwiał fundamentami światowego lidera chipów. Za to druga zmarnowana okazja już tak. Sztuczna inteligencja i jej rozwój w tempie geometrycznym kompletnie zaskoczyły władze koncernu z siedzibą w Santa Clara w Dolinie Krzemowej. Okazało się, że Chat GPT i podobne mu twory sztucznej inteligencji potrzebują nieco innych procesorów niż produkowane przez Intel. Znakomite okazały się tutaj karty graficzne Nvidii. Boom na jej wyroby, obserwowany w ostatnich latach, wywindował jej wycenę giełdową do niebotycznych kwot. W tym samym czasie notowanie i wycena firmy z Santa Clara spadła do poziomu sprzed kilkunastu lat, zmniejszając się o ponad 60 procent.

Zaczęto nawet spekulować, że najlepszym wyjściem byłoby podzielenie firmy na dwa biznesy - projektowy i produkcyjny - i sprzedaż konkurentom.

Koncern nie poddawał się. Jeszcze w ubiegłym roku jego strategiczne cele przewidywały inwestycje za 20 mld dolarów w nowe fabryki półprzewodników w Europie. Sytuacja finansowa firmy zmusiła ją jednak do rezygnacji z ekspansji i zwrotu w kierunku rewizji własnej struktury korporacyjnej.

Nowy zarząd, nowy-stary Intel?

Na przełomie roku z zarządzania chipowym koncernem zrezygnował Pat Gelsinger, kierujący Intellem od 2021 roku. Zastąpił go nowy CEO, Lip-Bu Tan, który na dzień dobry miał do zkomunikowania pracownikom i inwestorom nie najlepsze wieści. Raport finansowy firmy za pierwszy kwartał 2025 r. wykazał stagnację. Przychody pozostały na podobnym poziomie rok do roku (12,7 mld dolarów, nawet wyższym niż prognozy analityków), ale firma zanotowała stratę netto w wysokości ok. 887 mln USD. Nowy szef nie

ukrywał, że kroki dla ratowania sytuacji muszą być drastyczne; jednocześnie podzielił się diagnozą, co doprowadziło Intel do miejsca, w jakim się znalazł.

- Musimy fundamentalnie przekształcić naszą kulturę i sposób, w jaki działamy. Złożona organizacja i biurokracja dusiły innowacyjność i zwinność, których potrzebujemy, aby wygrać. Podejmowanie decyzji zajmuje zbyt dużo czasu. Nowe pomysły i ludzie, którzy je generują, nie otrzymali przestrzeni ani zasobów, aby się rozwijać - ocenił Lip-Bu Tan.

Zapowiedział kontynuowanie niezbędnych inwestycji, jednocześnie minimalizując projekty i programy niezwiązane z głównymi działalnościami.

- Pilnie odbudowuję naszą pulę talentów inżynierskich, promując silnych liderów wewnętrznie, przywracając utracone kluczowe talenty i rekrutując nowych ludzi - dodał Lip-Bu Tan, zapowiadając powrót pracowników do biur z pracy zdalnej.

- Eliminując nieefektywności i zmieniając sposób prowadzenia działalności, głęboko wierzę, że możemy obniżyć na-

sze koszty, jednocześnie zabezpieczając naszą przyszłość - przekonuje CEO Intela.

Mają asy w rękawie?

Obniżka kosztów będzie drastyczna. Koszty operacyjne w ciągu 2025 i 2026 roku mają spaść łącznie o 33 mld dolarów. Nie oznacza to, że firma się „zwija”. Intel liczy na sukces swoich najnowszych rozwiązań. W tym roku do masowej produkcji mają trafić chipy produkowane w technologii 18A. Nie wdając się w szczegóły, technologia ta pozwala na produkcję wydajniejszych i bardziej energooszczędnych procesorów. Jest pierwszym rozwiązaniem na rynku przenoszącym połączenia zasilające tranzystory z tradycyjnej lokalizacji na górze układu na tylną stronę układu, co zmniejsza marnowanie energii.

Intel opracował jeszcze bardziej zaawansowaną technologię - 14A. Firma chce w przyszłości obie technologie oferować swoim klientom w ramach własnych fabryk półprzewodników, Intel jest bowiem wyjątkiem wśród światowych liderów w branży: sam projektuje chipy i sam je produkuje. Jego fabryki mogą za to pracować dla innych firm, jak choćby Nvidii czy Broadcom, które zresztą miały już przeprowadzić testy najnowszych technologii Intela.

Zdaniem obserwatorów rynku kompleksowość modelu biznesowego firmy z Santa Clara może w obecnym czasie być jej atutem. Wojna handlowa i perturbacje w łańcuchu dostaw na świecie mogą nie być dla niej tak istotne, jak dla konkurentów, którzy projektują chipy, ale produkują je dla nich inne firmy, albo nie projektują, a produkują dla firm zewnętrznych.

Niewykluczone zatem, że za kilka lat Intel ponownie zasiądzie na szczycie branży. Z drugiej strony może zdecydować o ściślejszej współpracy lub powiązaniu kapitałowym z innymi firmami. Dzisiaj jest raczej pewne, że inwestycja w Polsce zostanie odłożona na dłużej niż dwa lata.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE INTELA

NA PRZEŁOMIE ROKU Z ZARZĄDZANIA KONCERNEM ZREZYGNOWAŁ PAT GELSINGER, KIERUJĄCY INTELEM OD 2021 ROKU. ZASTĄPIŁ GO NOWY CEO - LIP-BU TAN

MIEDZY NATURĄ A INTERNETEM, CZYLI SIŁA SPOKOJU W CZASACH NIEPOKOJU

Ciepły uśmiech, spokój, autentyczność - kanał lifestylowy Green Canoe prowadzony przez Joannę Marciniak-Wróblewską od lat przyciąga rzesze widzów spragnionych prawdziwego kontaktu i inspiracji. W rozmowie z nami opowiada o swojej drodze, pracy w sieci bez pogoni za zasięgami, życiu w sercu kaszubskiej natury oraz o tym, czym właściwie jest szczęście

Edyta Łosińska-Okoniewska

Ciepły uśmiech, spokojny głos, któremu w tle często towarzyszy śpiew ptaków lub inne odgłosy natury - taki właśnie obraz pani można zobaczyć, obserwując kanał Green Canoe. Da się działać z takim spokojem w internecie, gdzie wszystko pędzi, obrazki zmieniają się niemal z prędkością światła, a szkowanie zapewnia odstępny?

Tak. Zdecydowanie tak. To zawsze kwestia tzw. grupy docelowej, czyli ludzi, do których chce się dotrzeć. Nasi widzowie żyją podobnie do nas, mają zbliżone potrzeby i wartości. Ma pani rację, że żyjemy w czasach, gdzie to ciągłe szkowanie i dostarczanie silnej rozrywki generuje zasięgi, ale moim zdaniem od zasięgów bardziej liczy się wiarygodność i prawdziwy kontakt twórcy ze społecznością.

Jestem ciekawa, skąd się wziął ten pani spokój? To wrodzona cecha czy świadoma decyzja i praca nad sobą?

Być może jestem postrzegana jako spokojna, przypuszczam, że dzieje się tak dzięki mojemu sposobowi komunikacji, wysławiania się czy tonacji głosu, ale prawda jest taka, że mam w sobie ogromne pokłady energii. Urodziłam się pierwszego dnia wiosny, otwieram miesiąc zodiakalnego Barana i niech mi pani wierzy, oprócz spokoju noszę w sobie też ognisty temperament. Od wielu lat pracuję nad sobą, a dokładnie nad czytaniem własnych emocji, nad byciem w dobrym kontakcie ze sobą. To na pewno pozwala budować wewnętrzne poczucie bezpieczeństwa i spokoju, o który pani pyta.

Prowadzi pani niezwykle popularny kanał lifestylowy i tworzy go w Kościerzynie, na Kaszubach. Jak to się stało, że trafiła pani do tego miasta?



Joanna Marciniak-Wróblewska: Mam w sobie ogromne pokłady energii

Czy to, że nie należy ono do wielkich aglomeracji, utrudnia działania, czy obecnie nie ma znaczenia wielkość, a liczy się pomysł? A może to kaszubska przynależność wpłynęła na taki właśnie format?

Tak naprawdę mieszkamy poza miastem, praktycznie w lesie, nad jeziorem. W Kościerzynie rzeczywiście znajduje się redakcja kanału i jednocześnie studio do niektórych wnętrzarskich nagrań. Na Kaszubach zamieszkali-

śmy z wyboru, zakochani w naturze. Myślę, że obecnie nie ma znaczenia, gdzie mieszkamy, bo i tak to widz decyduje, czy zechce poświęcić nam swój czas i uwagę. Czy mówimy do niego z wierzowca w stolicy, czy znad ka-

szubskiego jeziora - to nieistotne. Istotne jest to, co mówimy, jaką wartość mają nasze treści i jaki mamy wzajemny kontakt.

Pani pracę, a właściwie fragmenty życia, obserwują tysiące osób. Czy czuje pani na barkach ciężar odpowiedzialności za to, co pani poleca, w jaki sposób udziela porad? Czy to trudne, wpływać w pewien sposób na życie innych ludzi?

Oczywiście. Od samego początku czułam odpowiedzialność. W Green Canoe mówimy o jakości, o wszystkim, co dobre. Jeszcze 15 lat temu promowanie wyborów opartych na jakości, a nie na ilości, nie było tak dobrze rozumiane jak dziś. Ale nigdy się w tej drodze nie poddałam i jestem jej wierna. Słowo „jakość” stało się flagowe dla GC, a ja mam bardzo wyraźne poczucie odpowiedzialności za to, co znajduje się na naszym kanale. Dlatego też odmawiam współprac, jeśli uznaję, że musiałabym skłamać, by coś polecić naszym widzom. Taka uczciwość w skali czasu okazała się najlepszym wyborem. Nasi widzowie wiedzą doskonale, że traktujemy ich z dużym szacunkiem. Wielokrotnie korzystają z naszych rekomendacji oraz moich porad ogrodniczych czy wnętrzarskich - to bardzo budujące.

Ci, którzy obserwują pani Instagram albo kanał na YouTube, mogą liczyć na uśmiech. Jest go tam naprawdę sporo. Co panią bawi, co sprawia, że śmieje się pani całą sobą?

Często się śmieję i uwielbiam to! Życie mnie cieszy, wie pani? Taka zwykła codzienność. Ptaki, które przylatują na taras i drą się do śniadania, awanturując się nie wiadomo o co. Bawi mnie syn, który prawie ciąga, idealnie dobraną

do sytuacji ripostę i wszyscy wybuchamy śmiechem. Często się wygłupiamy, tańczymy! Czasami całą rodziną złapie nas tzw. głupawka. I jestem przekonana, że to właśnie te chwile są fundamentem życiowego poczucia szczęścia.

Na pani kanale obserwujący mogą znaleźć porady niemal z każdej dziedziny. To sporo pracy, ale też trzeba mieć wiedzę na ten temat. Skąd ją pani czerpie?

Zawsze bardzo dużo czytałam. Do wiedzy teoretycznej doszłam potem praktyka - w ogrodzie, w projektowaniu wnętrz, aranżacji, stylizacji. Przez wiele lat produkowaliśmy sesje wnętrzarskie dla wiodących magazynów w Polsce. Filmowania, pracy w social mediach czy ze studentami uczyłam się już potem „w praniu”. Zawsze te pierwsze razy były wyzwaniem, ale ja lubię wyzwania. Myślę też, że niektóre obszary są dla wielu z nas czymś naturalnym. Mogłabym godzinami mówić o wnętrzach, dekorowaniu, ogrodach, to DNA mojej duszy. Gdyby tak nie było, nie mieszkałabym tu, gdzie mieszkam, i nie miałabym takiego ogrodu, ani tego zachwyty w sobie, gdy rano boszo chodzę po trawie, a robię to codziennie, o każdej porze roku.

W jakim momencie życia zdecydowała pani, że Green Canoe to będzie właśnie to, czym będzie się pani zajmować zawodowo? To nie jest praca na etacie z określonym „od-do” i składką emerytalną... Internet bywa brutalnym pracodawcą...

Green Canoe istnieje od 2009 roku i właściwie od początku postanowiłam, że będę funkcjonować zawodowo w internecie. 16 lat temu nie był to oczywisty wybór. Na po-

MYŚLĘ, ŻE OBECNIE NIE MA ZNA- CZENIA, GDZIE MIESZKAMY, BO I TAK TO WIDZ DECYDUJE, CZY ZECHCE POŚWIĘCIĆ NAM SWÓJ CZAS I UWAGĘ

czątku było rzeczywiście ciężko. Dopiero dziś jest to droga zawodowa, która nie wzbudza zdziwienia. Okazało się przez te lata, że internet, choć bywa brutalny, to otwiera także wiele możliwości. Można prowadzić firmę, której głównym obszarem działania jest właśnie internet. Wszystkie wspólprace, które mieliśmy i mamy, przyszły do nas właśnie z tej przestrzeni. Własna firma daje mi dużo więcej pracy niż etat - z naciskiem na dużo. Ale biorąc pod uwagę, że cenę wolności zarządzania własnym czasem, widzę w internecie więcej korzyści niż wad.

Można powiedzieć, że to firma rodzinna, bo możemy bliżej poznać także pani męża i syna, choć oczywiście nie w takim stopniu, jak panią. Czy w tego rodzaju działalności nie jest trudno oddzielić życie prywatne od zawodowego? Internauci często chcą

więcej i więcej. Potrafi pani powiedzieć im „stop”?

Granice zostały postawione dosłownie na samym początku i nasi widzowie od razu o tym wiedzieli. I uszanowali moją decyzję. Czasami zapraszamy ich do naszego życia w formie krótkich migawek, np. z podróży, koncertów, spektakli. Dzielimy się przepisami na pyszne potrawy. Ale wiedziałam od początku, że nie chcę puszczać mojego i moich najbliższych prywatnego życia w eter - traktuję je jak skarb. Prywatność jest wartością, o którą warto dbać. Nie rozmawiam na social mediach o prywatnych wyborach, życiu, chorobach, planach, polityce itd. I czuję się z tym bardzo komfortowo, mam wrażenie, że nasi widzowie także to cenią.

Jest w pani dużo spokoju, a co wyprowadza panią z równowagi? W jakich sytuacjach trudno opanować emocje?



FOT. ARCH. PRYWATNEQ

Media społecznościowe pod szyldem Green Canoe funkcjonują i rozwijają się od 2009 roku

Gdy widzę krzywdę drugiego człowieka. Gdy widzę ból, agresję, głupotę, brak poszanowania dla przyrody. I bardzo źle wpływa na mnie powszechny hałas.

W „polecajce” kanału mówi pani o poszukiwaniu przepisu na szczęście i sposobach, by je osiągnąć. Co dziś uważa pani za największe szczęście i jak to pojęcie ewoluowało? Czy

jest dynamiczne, czy od zawsze obejmowało te same wytyczne?

Świetne pytanie! Gdy byłam w liceum, za szczęście uważałam odnalezienie miłości, założenie rodziny, posiadanie małego białego domku z ogrodem i psem. I jak to mówią - uważaj, o czym marzysz. Dziś wiem, że szczęście to miliony małych chwil. Docenienie drobnych rzeczy - słońca, przytule-

nia, zdrowia, możliwości tańca, rozmowy z przyjaciółmi. Szczęście to spokój w duszy i poczucie spełnienia.

Gdzie widzi pani siebie za 30 lat? Jakie są długoterminowe plany? Kaszuby, inny region, inny kraj?

Widzę siebie jako siwiutką jak gołąb dziewczynę, uśmiechniętą od ucha do ucha, w pełni kobiecości i z figlarnym spoj-

rzaniem. Widzę, jak uczyć się nowego tańca, wygłupiam z wnukami, przesadzam kolejny krzak w ogrodzie i rozmawiam godzinami z przyjaciółkami. Nie wiem, co zawodowo będę robić za 30 lat, ale podarowanie sobie prawa do tej niewiedzy wydaje się bardzo na miejscu. Widzę spokój i szczęście - zdecydowanie widzę spokój i szczęście.

Materiał Informacyjny

0111270306

XVII Europejski Kongres Gospodarczy z mocnym głosem biznesu

17. edycja Europejskiego Kongresu Gospodarczego, który przyciąga do Katowic przedstawicieli dużego i średniego biznesu, spółek Skarbu Państwa, decydentów i administracji, instytucji unijnych i pozarządowych, nauki i mediów po raz kolejny dała przestrzeń do rozmów o najważniejszych dla gospodarki tematach. Nadrzędna konkluzja z debat jasno wskazuje, że stoimy dziś przed koniecznością wzmacniania szeroko pojętego bezpieczeństwa: konkurencyjności i niezależności.

To właśnie od tematu bezpieczeństwa i gospodarki rozpoczęły się sesje Europejskiego Kongresu Gospodarczego. Trzy różne ujęcia tego, co z punktu widzenia biznesu oznacza w praktyce bezpieczeństwo gospodarcze, zaprezentowali w trakcie inauguracji EEC **Michał Sołowow**, przemysłowiec i inwestor, **Kenneth Campbell**, prezes telekomunikacyjnego potentata firmy Play (Grupa Iliad) oraz **Rafał Modrzewski**, współzałożyciel ICEYE, polsko-fińskiego producenta systemów satelitarnych.

Kenneth Campbell opisał sposoby zapewnienia odporności infrastruktury telekomunikacyjnej na stałe akty cyberagresji. Nawiązał też do ofensywy deregulacyjnej. Jego zdaniem uproszczenie podejścia do inwestowania w infrastrukturę może realnie przyczynić się do jej stanu i bezpieczeństwa.

Michał Sołowow przekonywał o ważnej dla bezpieczeństwa roli konkurencyjności własnej produkcji przemysłowej. – Jeśli Europejcy wytwórcy ponoszą ciężar regulacji związanych z polityką klimatyczną, a importerzy i eksporterzy do Europy są od tych obciążeń wolni, to sątkoćca to głęboko konkurencyjność i wolny rynek – stwierdził. – Jeśli chcemy iść ku czystej energii i chronić planetę, to nie zrobimy tego sami, w Europie, musimy wywierać wpływ na świat – podkreślał.

Rafał Modrzewski skupił się na roli technologii, jak drony, AI czy satelity radarowe, w zachowaniu bezpieczeństwa krajów i instytucji. ICEYE umieścił dotychczas na orbicie konstelację 50 satelitów pozwalających obserwować ziemię z niezwy-



kłą dokładnością niezależnie od pogody i pory dnia. – To oczy na świat pozwalające rozumieć rzeczywistość i reagować – podkreślał prezes ICEYE. – Byliśmy zależni od technologii spoza Europy. Czy teraz zainwestujemy we własne rozwiązania, które przekują się w bezpieczeństwo? Mamy w Europie potencjał – przekonywał.

Deregulacja siłą napędową gospodarki

Podczas kongresu analizowano, jak w nowych warunkach budować trwałe modele współpracy międzynarodowej i wzmacniać odporność gospodarek. Zdaniem

uczestników kongresu, w niestabilnym otoczeniu geopolitycznym Europa musi jednocześnie dbać o swoją spójność wewnętrzną i zdolność do globalnej współpracy gospodarczej, zwłaszcza w kontekście odbudowy Ukrainy i dostępu do surowców.

Tomasz Domogała, prezes TDJ, obrazowo wskazał na strukturalne nierówności, z jakimi mierzy się Unia w globalnym wyścigu ekonomicznym.

– Gospodarka Europy nie jest w agonii. Unia zrelektowała się w ostatnim momencie. Dużo dał do myślenia ogłoszony we wrześniu 2024 r. raport byłego szefa

Europejskiego Banku Centralnego Mario Draghiego. W styczniu tego roku Komisja Europejska zaprezentowała kompas konkurencyjności opierający się na wnioskach z niego płynących. Potrzeba jednak szybko zamienić słowa w konkretne rozwiązania stymulujące europejską gospodarkę. Europa potrzebuje efektu skali. Trzeba zrobić kolejny krok – mówił. Zdaniem przedsiębiorcy, Europa powinna doprowadzić do obniżenia kosztów energii, uelastyczyć prawo pracy, silnie się zderegulować i ułatwić dostęp do kapitału. – Jest wola polityczna, a także administracyjna na przeadministrowanie zmian legislacyjnych w ramach deregulacji przygotowanej przez ruch Sprawdzamy – powiedział wiceminister finansów **Jurand Drop**. Od chwili rozpoczęcia prac przez ruch społeczny przedsiębiorców wpłynęło ok. 14,5 tys. propozycji dotyczących zmian przepisów. – Mamy do czynienia z naprawą maszyną zmianą deregulacyjną. Wynika to z tego, że jest wola polityczna, ale także administracyjna, co oznacza, że zmiany nastąpią. Dla nas

najważniejsza jest jakość i racjonalność rozwiązań, które zostaną przyjęte – powiedział wiceminister finansów **Krzysztof Pawiński**, prezes Grupy Maspex, odnosząc się między innymi do unijnych regulacji dotyczących m.in. raportowania śladu węglowego, podkreślał: – To, że będziemy musieli więcej raportować, nie uczyni naszego biznesu lepszym. Tego nie da się zadekretować – wyjaśniał. Dodatkowo, jego zdaniem odroczenie chwili, kiedy obowiązek raportowania obejmie szeroki wachlarz firm, nie ma dużego znaczenia, bo koszty, które teraz zostaną „odpuszczone”, trzeba będzie i tak ponieść w przyszłości.

Zbigniew Jakubas, właściciel grupy Multico oraz Motoru Lublin, powiedział, że na kontach bankowych przedsiębiorców leżą biliony złotych, ale firmy obawiają się je wydawać, ponieważ mamy przeregulowane przepisy i nadmierną biurokrację. – Część z tych niepotrzebnych przepisów narzuciła nam Unia Europejska, ale część to efekt naszej krajowej głupoty – zauważył biznesmen.

JUWENALIA GDAŃSKIE - WIĘCEJ NIŻ IMPREZA!

Juwenalia to z pewnością jedno z najważniejszych wydarzeń w studenckim kalendarzu. Przeszły one długą drogę od skromnych obchodów solidarności akademickiej, aż po wielodniowy festiwal plenerowy z koncertami, sponsorami i różnymi atrakcjami. Jak zmieniały się juwenalia w Gdańsku, jak wyglądają dziś?

Maja Czech

Nazwa „juwenalia” pochodzi od łacińskiego słowa Juvenalia, które dosłownie oznacza „igrzyska młodzieńców”. Wbrew pozorom rzymskie Juvenalia nie miały nic wspólnego ze sportem, za to bardzo wiele wspólnego... z biesiadą.

Pierwsze juwenalia w Polsce sięgają czasów średniowiecza, a konkretnie XV wieku. To właśnie wtedy po raz pierwszy zorganizowano święto studentów, a było to w Krakowie. Jednak w formie zbliżonej do dzisiejszej zaczęto organizować dopiero po II wojnie światowej – w 1957 roku odbył się pierwszy pochod juwenaliowy w Trójmieście. Tak rozpoczęła się trwająca do dziś tradycja, w ramach której to studenci na kilka dni przejmują klucze do miasta.

To już 55 lat

W czasach PRL-u juwenalia stały się czymś znacznie więcej niż okazją do zabawy. Imprezy te były rzadką sposobnością do wyrażenia swojej indywidualności i sprzeciwu wobec narzucanych ram, schematów i ograniczeń politycznych.

Juwenalia są ważnym wydarzeniem na Uniwersytecie Gdańskim praktycznie od samego początku istnienia uczelni (a to już 55 lat!). Jednak nie zawsze świętowano je rów-



Juwenalia są ważnym dla społeczności uniwersyteckiej wydarzeniem

nie hucznie – mówi Łukasz Bień, dyrektor biura Centrum Aktywności Studenckiej i Doktoranckiej Uniwersytetu Gdańskiego. - W latach 70. były okazją, by studenci pokazali, jak bardzo wyróżniają się na tle rzeczywistości PRL-u. Świętowano wtedy zarówno na świeżym powietrzu, jak i w klubach studenckich, m.in. w legendarnej „Wysepce”.

To właśnie tam studenci budowali więzi społeczne i tożsamość kulturową, które później okazały się cennym bodźcem budzącym potrzebę walki o wolność i niezależność.

Zmiany, zmiany

Z biegiem lat juwenalia w całej Polsce przybrały formę profesjonalnego wydarzenia muzycznego z udziałem wielu sponsorów, największych artystów i uczestników także spoza środowiska akademickiego. Można powiedzieć, że wydarzenie przeszło drogę, od studenckiej rewolucji, po największe festiwale plenerowe w kraju.

Jednak zanim powstały Juwenalia Gdańskie, każda gdańska uczelnia organizowała swoje własne wydarzenie. Siły wszystkich sześciu placówek udało się ostatecznie połączyć

w 2018 roku. Co ciekawe, próba zjednoczenia tych kilku osobnych wydarzeń we wspólne juwenalia została podjęta ponad dekadę wcześniej.

W 2006 roku udało się połączyć siły kilku uczelni, organizując wspólny koncert na terenie Stoczni, gdzie wystąpił między innymi popularny wtedy zespół The Rasmus – wspomina Łukasz Bień. - Niestety, organizatorom przeszkodziła pogoda, a studenci nadal preferowali imprezy na własnych kampusach. Na kolejną próbę połączenia sił trzeba było czekać kilkanaście lat.



Przemarsz studentów przez Gdańsk

Juwenalia Gdańskie 2025 już od 16 maja

Tegoroczne Juwenalia Gdańskie odbędą się 16 i 17 maja na Placu Zebrań Ludowych. Na scenie pojawią się m.in. Maryla Rodowicz, Kayah, Sobel, Myslovitz, PRO8L3M. Wydarzeniem rzecz jasna towarzyszyć będą strefy chilloutu, food trucki i wydarzenia tematyczne.

Studenci się zmieniają, juwenalia też

Przemijają kolejne pokolenia studentów i każde z nich jest inne. Jedno od dekad po-

zostaje niezmienne – juwenalia odpowiadają potrzebom wspólnego świętowania i integracji.

Obecnie oczekiwania publiczności się zmieniły – tłumaczy Łukasz Bień. - Na Placu Zebrań Ludowych odbywają się duże koncerty, a po kameralnych imprezach jazzowych z lat 70. nie ma już śladu. Wydarzenie jednak wciąż cieszy się nieustającym wsparciem uczelni, a tegoroczna edycja świetnie wpisuje się w obchody jubileuszu 55-lecia UG.

Czas na nową energię już tej wiosny!



Miejscem juwenaliów tradycyjnie stał się Plac Zebrań Ludowych w Gdańsku



Juwenalia w całej Polsce przybrały formę profesjonalnego wydarzenia muzycznego

Ci, którzy chodzą po jaskiniach mówią to samo: jest w nich coś magicznego, jakaś tajemnica. Inny świat: ciemny, zimny, nieodkryty, księżycowy. Jest też wszechobecna cisza, w której słyszeć krople spadającej ze ścian wody. Może dlatego ludzie wracają do jaskiń, tam żyją.

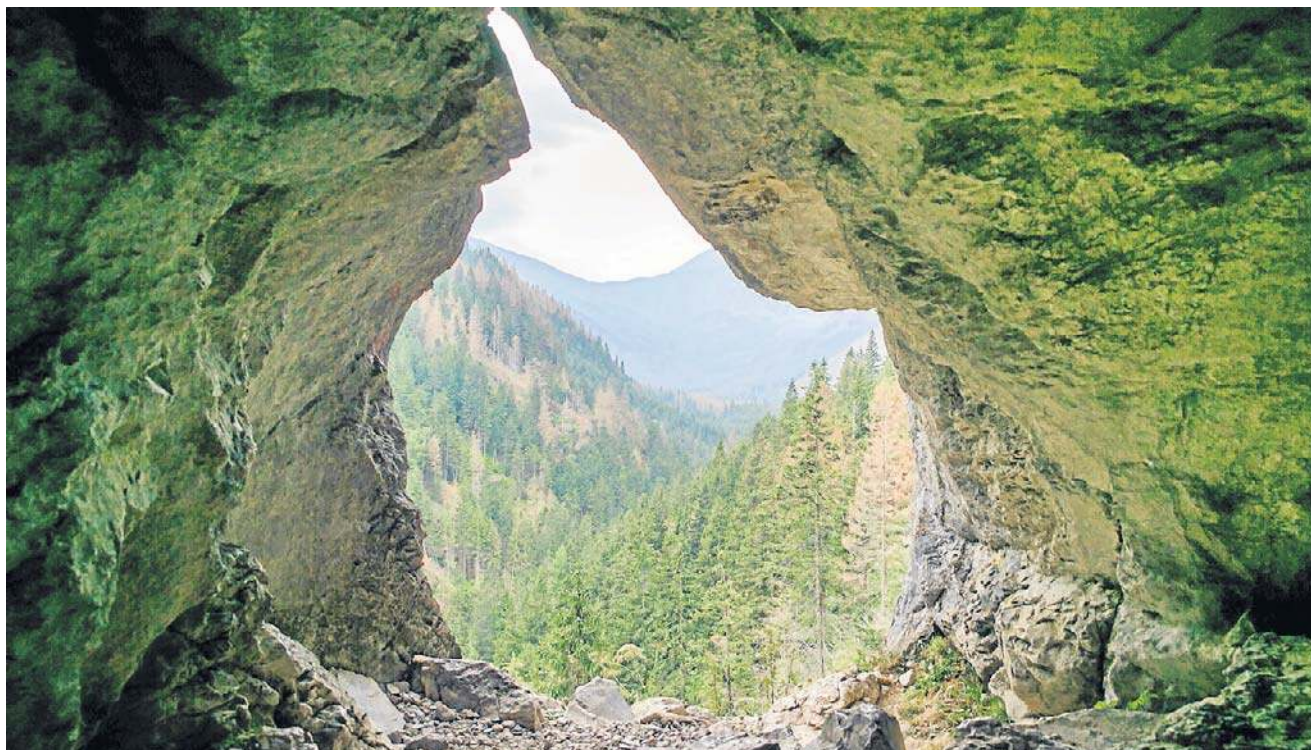
Dorota Kowalska

TROCHE JAK Z INNEJ PLANETY. TAJEMNICZY ŚWIAT JASKIŃ

Krajobraz księżycowy: głazy rzucone jeden obok drugiego, niektóre o przedziwnych kształtach, gdzieś między nimi jaskinie. Tak jest w okolicach Olkusza, Myszkowa, Zawiercia - tuż obok w Ojcowskim Parku Narodowym jest ponad siedemset jaskiń, w tym ta najdłuższa - Jaskinia Łokietka. Władysław Łokietek spędził w niej sześć tygodni, ukrywał się pod ziemią przed wojskami króla Wacława II. Mieszkańcy pobliskiej wsi, bocznymi korytarzami, przynosili mu jedzenie i picie, pajęki oplótły swoją pajęczyną całe główne wejście do jaskini, i właśnie to zmyliło pościg. Tak przynajmniej głosi legenda.

Januszkowa Szczelina - jaskinia na Januszkowej Górze we wsi Podlesie leży nieopodal Olkusza. Można dojść do niej kilkoma szlakami. Wielkie kamienie, zagłębienia, wzgórza. Przypominają bramy, niektórzy mówią: minizamki, każdy widzi w nich, co chce widzieć.

Szczelina powstała w wapieniach z okresu jury późnej, a więc to wapienie skaliste lub kredowate. Jest pochodzenia tektonicznego - prawdopodobnie utworzyła się na równoleżnikowym uskoku przecinającym Januszkową Górę. Wejście do jaskini i pierwsza 8-metrowa studnia znane były od dawna, ale przejście od jej dna do dalszych partii odkryli członkowie Speleoklubu Olsztyn w lutym 1970 roku. Grotołazi z Olsztyna spenetrowali jaskinię do głębokości 39 metrów, a w 1971 roku odkryli wejście poprzez ciasną szczelinę do komina. Niestety, rok później w Januszkowej Szczelinie zginął młody grotołaz z Krakowa. Po tym wypadku wejście do jaskini zabezpieczono kratą, ale szybko ją zniszczono. Rok później oberwała się część korytarza pod kominem, częściowo zawa-



Nie wiadomo, co piękniejsze: sama jaskinia, czy widok, jaki roztacza się z wejścia do niej

lając szczelinę do nowego dna jaskini. Zawalisko odkopano. Później przyszyły kolejne zawały. Stąd zachodnia część jaskini jest niedostępna, podobnie studnia prowadząca do jej najniższego piętra.

Ale turystów na szlaku nigdy nie brakuje.

Anna, nauczycielka, mieszka na Śląsku i w niemal każdy weekend zabiera rodzinę do jaskiń. Nie wchodzi do nich, chyba że jest to możliwe, ale samo spoglądanie w czeluść podnosi adrenalinę. Mają ich tu w okolicy sporo, to styk województw śląskiego i małopolskiego, ale odległości nie są duże - w zeszłym tygodniu byli w Grocie Niedźwiedziej, wcześniej w Jaskini Ostreżnickiej.

- Wszystkie są położone w przepięknym terenie. Jaskinia Ostreżnicka leży w skale, która

przypomina kawałek sera szwajcarskiego, ma wiele komór połączonych ciasnymi przejściami. Jest sześć otworów łączących ją z powierzchnią, ciągnie się 98 metrów - tłumaczy. Jej dzieciaki, ma nastoletnich córkę i syna, jaskiniami interesują się od dawna.

Na każdej wycieczce robią dziesiątki zdjęć. Ona sama urodziła się w Zawierciu, rodzice od zawsze zabierali ją w Jurę Krakowsko-Częstochowską, albo do Ojcowskiego Parku Krajobrazowego. Wspólnie szukali otworów w skałach i ziemi.

- W jaskiniach jest coś niesamowitego, coś magicznego - opowiada.

Janusz Onyszkiewicz polityk, matematyk, alpinista, himalaista i speleolog, mówił mi kiedyś, że „w jaskiniach jest przede wszystkim tajemnica”. - W górach w gruncie rzeczy wiadomo

z grubsza rzecz biorąc, co człowieka spotka. Wiadomo jak ta góra jest wysoka - jest ściana, to ją widać z daleka. Oczywiście jak już się w tę ścianę wejdzie, jeżeli nigdy nie była wcześniej pokonana, to może się okazać, że jest bardziej stroma niż się wydawało, że jest bardziej krucha, że jest nie całkiem tak, jakbyśmy chcieli. Ale na dobrą sprawę wielkich zaskoczeń nie ma, bo to wszystko z daleka widać. W jaskiniach natomiast nic nie wiadomo. W jaskiniach, jeżeli się przejdzie do miejsca, do którego do tej pory docierali ludzie, to dalej może być po prostu albo wszystko, albo nic - tłumaczył.

Jest ogromna ciekawość i też ogromna satysfakcja, że jest się w miejscu, w którym nikt jeszcze nie był, człowiek staje się autentycznym odkrywcą. - A do jakiego stopnia ten element za-

gadki jest w jaskiniach obecny, niech świadczą takie dwa zdania - opowiadał.

Kiedyś zjechał do komina w Jaskini Miętusiej, który uchodził za ślepy, bo według tych, którzy poprzednio tam byli, dalej istniały już tylko niedostępne zupełni szczeliny. Otóż, jemu udało przez tę szczelinę jakoś przecisnąć i co? I, jak mówi, otworzyły się przed nim wielkie możliwości, można było odkrywać kolejne korytarze. Innym razem, było dokładnie odwrotnie. Odkrywali wtedy Jaskinię Śnieżną.

- Właśnie, ale jak to się odbywało. Mianowicie zrobiliśmy wielką wyprawę do Jaskini Śnieżnej, schodziliśmy coraz to niżej, coraz to niżej, po kolei na rozmaitych punktach asekuracyjnych zostawiali moi partnerzy, żeby ubezpieczać odwrót.

W końcu znalazłem się sam. Szedłem dalej, przeciskając się i schodząc z rozmaitych progów i znalazłem się nad taką studnią, która nie była specjalnie wysoka. I pewnie byłbym nią w stanie zejść, ale wcale nie byłem pewien, czy to mi się uda i czy powinienem to robić, bo nie miałem już ani kawałka liny, żeby ewentualnie tam z niej skorzystać. Nie byłem po prostu pewny, czy będę w stanie wyjść. Tak sobie pomyślałem: „Rany boskie, zjedę i co wtedy ze mną, nikogo nie ma, w ogóle tutaj chyba zostanie, lepiej jednak nie ryzykować”. Wobec tego wróciłem na górę. Wyprawa zakończyła się ogromnym sukcesem, bo wtedy Jaskinia Śnieżna była czwarta pod względem głębokości na świecie. Zrobiliśmy kolejną wielką wyprawę, żeby posunąć tę eksplorację do końca: zjechaliśmy znowu w dół, doszliśmy do tego miejsca, zeszliśmy niżej, poszliśmy jeszcze 100 metrów dalej i jaskinia się skończyła - wspominał.

Mówią, że człowiek ma potrzebę eksploracji, zdobywania i to dzięki tej potrzebie, jako gatunek nie chodzimy już po drzewach i nie żyjemy się robakami. Pragnienie poznawania i przygody, choć może trudno je wy tłumaczyć, jest częścią naszego DNA.

Tyle, że nie wszyscy chodzą po jaskiniach wyczynowo, jak Janusz Onyszkiewicz. Anna już dawno zastanawiała się, czy nie zapisać się na kurs, bo chciałaby jednak zobaczyć jaskinie od trochę innej strony. Być bardziej zdobywcą niż zwiedzającym. Są kursy taternictwa jaskiniowego, więc to jest tak, że nie da się tego zrobić, tylko nigdy nie było czasu, zawsze coś okazywało się ważniejsze. Kto wie, może w tym roku.

Kasia, autorka bloku www.dotykamchmur.pl z wykształce-

nia filolog, w tygodniu zajmuje się komunikacją i marketingiem, w weekendy jest instruktorką spadochronową.

„Opowiedzieć o jaskiniach, to jest dopiero wyzwanie! Jest ciemno, zimno, mokro, do domu daleko... A jednak trudno porzucić ten podziemny świat i nie do końca jest jasne, dlaczego?

Bywają takie momenty, że czuję się niedorzecznie. Na przykład, kiedy jechałam z przyjaciółką na etap zimowy kursu speleo. Nie wiem co kupują »normalne« kobiety jadąc gdzieś razem na kilka dni, ale mi kupiłszy kilka par rękawic roboczych, kilka par kuchennych oraz dwie pary kaloszy. Mało spałam, mało jadłam, sporo marzłam. Po powrocie do domu wyglądałam jak ofiara przemocy domowej, z białym we włosach, niemiłosiernie posiniaczonymi kończynami oraz z szerokim uśmiechem na twarzy.

Byłam całkowicie oczarowana tym podziemnym światem i wróciłam z myślą, że jaskinia to taki mały kosmos w samym środku Tatr, serce góry. Niemniej bardzo trudno było mi wytłumaczyć najbliższemu, czym ja się tak zachwycałam i po co włączę do tych jaskiń.

No właśnie, po co? Co odpowiedzicie znajomym i rodzinie, kiedy Was pytają, dlaczego chodźcie po jaskiniach? Próbuje tłumaczyć, czy wręcz przeciwnie?” – pisze na swoim bloku.

I wymienia 10 powodów, dla których warto schodzić pod ziemię, to taki „dekalog przyjemności”, jak pisze. Pierwszy powód, to odcienie. Spokój, lata świetlne od codziennego życia i codziennych trosk. W jaskiniach chociaż na chwilę można zapomnieć o tym, co na górze. Kolejna sprawa – kosmos, tak to nazywa. Jaskinie, to trochę inny świat, chodzenie po innej planecie. W Jurze Krakowsko-Częstochowskiej przedsmak tego świata jest już na powierzchni. Dalej jest o tym, że w jaskiniach można się wspinać, czołgać, pełzać, to taki plac zabaw dla dorosłych, można by rzec, a w kim z nas nie ma dziecka? Pod ziemią jest też błoto, kałuże, brudny świat i można się w tym błotku trochę pobrudzić, to świetnie robi zwłaszcza tym, którzy na co dzień chodzą do pracy w garniturach i garsonkach. W jaskiniach można pomedytować, być na chwilę samemu ze sobą, można rozkoszować się ciszą, w której słychać jedynie krople spadającej wody i bicie naszego serca. Tyle. Można się także sprawdzić, zobaczyć, ile umiemy, jak radzimy sobie ze stresem.

Kolejna rzecz – karbid. „Nie ma piękniejszego światła, niż to, które daje ogień. Jest przyjemne dla oka, ciepłe i miękkie, rozchodzi się kuliście świetlistą łuną i lekko migocze. Jestem fanatyczną miłośniczką zapachu karbidu. Dla mnie jaskinie pachną błotem, metalem i karbidem. [Od pewnego czasu, ze wzglę-

dów ekologicznych, nie wolno używać karbidu w jaskiniach tatrzańskich]” – pisze Kasia na swoim blogu.

Niedaleko Jaskini Ostreżnickiej jest Jaskinia Wierna, najłatwiej do niej od osady Ostreżnik leżącej tuż przy drodze Żarki-Janów. Trzeba zaparkować na parkingu pod barem „Ostreżnik”, przy Źródle Zdarzeń i Zamku „Ostreżnik” i ruszyć na północ. Potem odbić z głównej ścieżki na wschód, w kierunku jaskini prowadzi ścieżka, widać ją wyraźnie. Idąc w kierunku szczytu, co rusz wyrastają przed nami skałki. Otwór jaskini niełatwo znaleźć, leży w niskiej szczelinie. Trzeba szukać wydeptanego miejsca.

Ponoć miejscowi zawsze wy-czuwali wyraźny wywiew powietrza wydobywający się z ciasnej szczelinki, zwłaszcza kiedy było zimno. Dlatego w latach 70. jaskinią zainteresowali się grotolazi: Maria Tytko (Rysiecka) i Zbigniew Rysiecki. Z czasem z kolegami poszerzyli ciasną szczelinę wejściową. Weszli do jaskini, zaczęli ją odkrywać.

Jaskinia Wierna jest najdłuższą jaskinią na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej. To 1027 metrów przeróżnych korytarzy.

Wojtek przyjeżdża tu często z rodziną. Tak naprawdę, jak przyznaje, jaskinie to tylko pretekst. Chodzi bardziej o to, żeby wyjść z domu, pochodzić po pagórkach. – Tu jest pięknie o każdej porze roku. Szukamy jaskini, chodzimy po pobliskich szlakach, czasami zrobimy sobie na polanie piknik – mówi. On też, jak Anna pochodzi ze Śląska. Więc zawsze były albo jaskinie, albo góry, do których też mają bardzo blisko.

Dużo czyta o jaskiniach, sporo o nich wie. I tak, opowiada, w Meksyku, nieopodal miejscowości Naica, leży słynna Kryształowa Jaskinia. Odkryli ją górnicy pracujący nad powiększeniem kopalni w 2000 roku. Była wtedy całkowicie wypełniona wodą, więc trzeba było wodę wypompować, ale to zapoczątkowało powolne niszczenie kryształów, które wypełniają korytarze. W jaskini jest potwornie gorąco, więc ciężko ją zwiedzać.

Z kolei Park Narodowy Gunung Mulu słynie z największego na świecie, nie do końca zbadanego, kompleksu jaskiń. Jedną z nich, Komora Sarawak, ma 700 m długości, 400 m szerokości i ponad 70 m wysokości, co czyni ją największą znaną komorą.

– Najgłębsze jaskinie świata to Jaskinia Wierciwina i Jaskinia Krubera. Obydwie znajdują się w Gruzji w Masywie Arabika – wylicza Wojtek. I dodaje, że on z rodziną w tym roku byli w Jaskini Niedźwiedziej. To najdłuższa jaskinia w Sudetach, uznawana też za jedną z najpiękniejszych w Polsce. Położona jest w Masywie Śnieżnika, w pobliżu wsi Kletno. Odkryto ją podczas eksploatacji kamieniołomu marmuru w 1966 roku. – Jest niesa-

mowita. Nacieki zwisające ze ścian wyglądają jak sople: kopyta, kaskady, magiczny świat – opowiada. Poszli do jaskini z przewodnikiem, 45 minut niesamowitego spaceru.

– Ale najdłuższa jaskinia w Europie, to Jaskinia Optymistyczna w pobliżu wsi Korolówka, w obwodzie tarnopolskim Ukrainy. To w sumie 236 km korytarzy, wyobrażasz sobie? – ekscytuje się. To największa gipsowa jaskinia świata. Druga w Europie jest jaskinia krasowa Hölloch w Szwajcarii, ta ma około 200 km długości.

Zkosmosu widać rozpadlinę, czy też jaskinię morską Great Blue Hole w rafie koralowej w Morzu Karaibskim u wybrzeży Belize. Nakręcono o niej kilka filmów, Jacques Cousteau wpłynął do Great Blue Hole swoim statkiem badawczym „Calypso”. Podwodna studnia ma głębokość 124 m i szerokość 300 m.

– Nasi przodkowie mieszkali w jaskiniach i to nikogo nie dziwi, nie mieli wyboru. Pomijając już przodków, ludzie z wioski w sercu tureckiej Kapadocji wykuwali domy, kościoły i klasztory w miękkich skałach pochodzenia wulkanicznego. Większość z tych domów z czasem się zawaliła, ale niektóre nadal są zamieszkałe. Tyle, że dzisiaj, w XXI wieku ludzie znowu wracają do jaskiń, więc coś w nich jest, prawda? – śmieje się Wojtek.

To prawda. Są miejsca na Gran Canarii, czy na Teneryfie, gdzie ludzie wciąż mieszkają w jaskiniach. Niektórzy Kanaryczycy chcą wieść proste, spokojne życie, z dala od cywilizacji.

W niewielkim miasteczku Guadix, na terenie prowincji Granada, istnieje barrio de cuevas – osiedle jaskiń.

Historia barrio de cuevas sięga XV wieku. Po odbiciu przez Królów Katolickich Granady z rąk Maurów, ludność arabska, która zamieszkiwała te tereny, została wygnana. Nie wszyscy chcieli uciekać, część mieszkańców schroniła się w pobliskich górach. Ci, którzy zdecydowali się przyjąć chrzest i pozostać, osiedlili się w jaskiniach, w wydrążonych w skałe domach. Według szacunków miejscowych władz ponad 1,5 tys. jaskiń jest nadal zamieszkałych.

Zdzich Rabenda internautom znany jest z profilu „Takie tam Ztripa”, podróżnik i przewodnik, przez kilka lat mieszkał w jaskini na Teneryfie, w mieszkaniu urządzonym na szczycie góry.

W mediach Rabenda tłumaczył, że wszystko w jego życiu zmieniła pandemia. – Kiedy zbliżała się kolejna zimowa fala lockdownu, kupiłem bilet w jedną stronę, wyjechałem na Teneryfę. Nie wiedziałem, że będę mieszkał w jaskini, ale tak się potoczyło życie, że tu już mijają moje trzy lata. A na Śląsk, a szerzej patrząc do Polski, przyjeżdżam w tej chwili głównie na wakacje albo żeby zorganizować jakieś wydarzenia kul-

turalne w naszym kraju – opowiadał.

W pewnym momencie poznał osoby, które zaprosiły go do swojego sąsiedztwa.

– Tak z upływem krótkiego czasu znalazłem grotę, w a tej chwili dwie groty, które są moim centrum życiowo-bytowym, więc mieszkam na szczycie góry – dodał.

Liczba jego sąsiadów zależy od pory roku. – Latem, kiedy jest bardzo gorąco, lokalna społeczność zmniejsza się do kilkunastu, może kilkudziesięciu osób, ale tu gdzie ja mieszkam, miejsce jest dość ograniczone z racji niewielkiej dostępności jaskiń, więc raczej nie ma w bezpośrednim moim sąsiedztwie nowych sąsiadów – tłumaczył.

W Polsce, póki co, ludzie jaskiń nie zamieszkują, ale chętnie po nich chodzą. Na szlaku jurajskich jaskiń, tuż obok Januszkowej Szczeliny i Jaskini Ostreżnickiej leży Grota Niedźwiedzia. Ma 70 metrów długości. To miejsce było znane od tysięcy lat, chronili się tu myśliwi z epoki kamienia łupanego. W czasach nowożytnych jaskinię odkrył na nowo przebywający w pobliskim Złotym Potoku Zygmunt Krasiński i opisał ją w 1857 roku. Obok jaskini biegnie czerwony Szlak Orlich Gniazd, przebiega dolina Wiercicy i łączy na tym odcinku rejon Ostreżnika ze Złotym Potokiem. Nie jesteśmy tu sami.

„Polecam po obiedku pocho-dzić po pięknym lesie z super widokami, którymi obdarzyła nas natura. Niedźwiedzia grotą, jak i cała ścieżka, biorąc pod uwagę ilość osób poruszających się po niej, jest w super stanie i aż dziwne, że niezaśmiecona” – pisze Mariusz.

Karlina: „Jakieś 10-15 minut na piechotę szlakiem od zbiornika Amerykan, malownicza ścieżka o niskim stopniu trudności. Do samej groty dosyć strome podejście, wejście blokuje zawalony pień, ale da się go obejść. Można wejść bez czołówek, ale w środku jest dość ciemno i chłodno, kapie woda, w jaskini znaleziono szczątki człowieka pierwotnego żyjącego ok. 80 tys. lat temu i kości licznych zwierząt”.

I jeszcze Aga: „Co za miejsce! Dostępne niemal dla każdego. Widoczne ze ścieżki rowerowej. Trudno go nie zauważyć. Wyobraźnia ma tu duże możliwości, szczególnie gdy obejrzało się wcześniej kilka filmów o jaskiniach. Jedno wejście prowadzi w nieznane”. Inni internauci dorzucają, że w grocie na pewno nie ma niedźwiedzi, za to można tu spotkać nietoperze.

Ci, którzy chodzą po jaskiniach mówią to samo: jest w nich coś magicznego, „tajemnica” – jak zauważa Janusz Onyszkiewicz. Inny świat: ciemny, zimny, nieodkryty, księżycowy. Jest też wszechobecna cisza, w której słychać krople spadającej ze ścian wody.



Góry Stołowe to prawie mekka miłośników jaskiń

Premiera „Surfera” z Nicolasem Cage’em w polskich kinach już 2 maja. Autor zdjęć, Radek Ładczuk, opowiada o kulisach powstawania filmu, kryzysie męskości i wzięciu odpowiedzialności za własne życie

Anita Czapryn

RADEK ŁADCZUK: ZAAKCEPTUJ TO, ŻE NA PEWNE RZECZY NIE MASZ WPŁYWU

Od początku wiedział Pan, że główną rolę w filmie „Surfer” zagra Nicolas Cage?

Nie wiedziałem. Ale chcę powiedzieć o tym, jak takie filmy powstają, bo myślę, że to ma znaczenie. Kiedy robi się kino arthouse’owe z budżetem na poziomie 5-8 milionów dolarów, to jest kilka sposobów, żeby taki film sfinansować. Jednym z nich – i to dosyć skutecznym – jest znalezienie znanego aktora. Reżyser filmu Lorcan Finnegan oraz produkcja od początku mieli taką strategię: znaleźć aktora z rozpoznawalną twarzą, który przyciągnie finansowanie. Początkowo zagranie głównej postaci zaproponowano dwóm australijskim aktorom, ale ponieważ w Australii nie ma aż tak wielu znanych aktorów, którzy pracują w tym kraju, zaczęto szukać w innych krajach. Najłatwiej takich aktorów znaleźć w Stanach Zjednoczonych. Scenariusz trafił do Cage’a, który widział już wcześniejszy film Finnegana, „Vivarium”, i bardzo mu się spodobał. Potem odbyli rozmowę. Lorcan Finnegan to reżyser, który lubi eksperymentować, przekraczać granice, poszukiwać w formie. Mam wrażenie, że obaj – Lorcan i Cage – spotkali się w tych poszukiwaniach i tak po prostu się to wydarzyło. Znany aktor dostał tekst, który pasował mu pod względem postaci, ale też jego dostępności czasowej. Oczywiście często pojawia się marzenie czy pragnienie, żeby konkretny aktor zagrał w filmie. Zazwyczaj jest to zainicjowane przez reżysera. Myślę, że w tym przypadku taki właśnie pomysł się pojawił. Choć postać w scenariuszu miała chyba 46 lat...

Tymczasem Nicolas Cage ma już ponad sześćdziesiąt. A w tym filmie jest świetny! Jak to było z Panem?

Tekst dostałem rok wcześniej jako propozycję do realizacji.

Często dostaję scenariusze od reżyserów, z którymi już wcześniej współpracowałem – jako potencjalne propozycje. Takie, które być może się wydarzą, a być może nie. Ponieważ z Lorcanem zrobiliśmy wcześniej film „Nocebo” z Evą Green, który nawiasem mówiąc został sfinansowany w podobny sposób, właśnie przez udział rozpoznawalnej aktorki, otrzymaliśmy wtedy finansowanie od różnych inwestorów, którzy byli zainteresowani zainwestowaniem swoich pieniędzy. Zatem scenariusz dostałem rok wcześniej i on we mnie pracował. Miałem też wtedy inną propozycję. Finalnie musiałem podjąć decyzję, który film wybieram. Poszedłem za lojalnością, czyli za kontynuacją współpracy z reżyserem, z którym bardzo dobrze mi się wcześniej pracowało. Choć nie miałem pewności, że ten film w ogóle powstanie, bo to był taki moment, że wiele rzeczy było jeszcze nieustalonych. Na przykład do końca nie mieliśmy pewności, czy Nicolas Cage podpisze kontrakt i się w to zaangażuje. To trwało półtora miesiąca.

Krótko mówiąc – zaryzykował Pan.

Tak. W moim zawodzie jest bardzo dużo tego elementu ryzyka. Czasem mam dwa projekty i muszę podjąć decyzję, na który się decyduję. Tutaj akurat mi się udało – ten drugi projekt nie powstał.

Jak to się odbywa? Reżyser po prostu dzwoni z propozycją?

Dokładnie tak to się odbyło. I tak właśnie bywa, kiedy już wcześniej się ze sobą pracowało. Często jest tak, że reżyser się odzywa, ale nie bezpośrednio. To kwestia branżowej etykiety. Zazwyczaj propozycja trafia do agenta jako konkretna oferta, w której opisane jest, o czym jest film, jaki ma budżet, jacy aktorzy biorą udział

w projekcie, jaki jest planowany okres zdjęciowy. To zaproszenie do rozmowy, taki rodzaj castingu – tak to można nazwać. Co roku biorę udział w kilku takich castingach. I to zawsze jest decyzja podejmowana z obu stron: reżyser po rozmowie daje znać, czy chciałby ze mną współpracować, ale ja też mam możliwość zdecydowania, czy chcę w to wejść, czy nie. Tak ten świat funkcjonuje.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że podczas pracy nad „Surferem” pojawiła się duża trudność: miejsce, w którym mieliście kręcić film, okazało się zaskakująco zielone.

Postawiliśmy sobie wyzwanie: jak zbudować wrażenie upału w filmie, skoro nie wynikało ono bezpośrednio z lokacji? I zaczęliśmy się zastanawiać, czym właściwie jest „upał”. Bo upał to przecież wrażenie gorąca odczuwane na skórze, a siedząc w kinie, nie mamy dostępu do tego zmysłu. Mamy obraz, mamy dźwięk. I wokół tego prowadziliśmy bardzo dużo rozmów. Pierwszym elementem był kolor – nasycenie barw. Robiliśmy sporo testów, które odcienie najlepiej oddają wrażenie gorąca. Odwoływaliśmy się do psychofizjologii widzenia – jak to, co widzimy, przetwarzamy przez naszą wzrokliwość. Zatem kolor to był ten pierwszy element. Kolejny to wybór optyki. Dla filmowców to bardzo istotne, bo obiektyw działa jak filtr – definiuje rzeczywistość. Wybraliśmy obiektywy, które łąpały światło, wpuszczały flary, tworzyły przedziwne gry świetlne albo nawet deformowały obraz. Idąc dalej tym tropem: czym jest upał? Wprowadzaliśmy do scenariusza elementy rytuału. Nie wszystko było tam zapisane, ale my zinterpretowaliśmy niektóre fragmenty jako rytualne. A rytuał to przecież też religia. Odnieśliśmy się do chrześcijań-

skich kontekstów: postać Jezusa, pustynia, post, wizje, urojenia. Dużo pracowaliśmy też z kodem barwnym: czerwień i niebieski. Czerwień to kolor krwi, ale też królewski. Niebieski – kolor podstawowy. I to było dla nas ważne, żebyśmy poruszali się w ramach takiego trójkąta barw. Kolory podstawowe zarezerwowaliśmy dla kostiumów, a pochodne – jak pomarańcz czy rdzawy – dla otoczenia, scenografii, samochodów. Eksperymentowaliśmy z obrazem: mieliśmy specjalne, elastyczne lustra, które zakrzywiały przestrzeń. Kręciliśmy nie sam obiekt, ale jego odbicie; manipulowaliśmy obrazem. Przed obiektywem montowaliśmy też gorące rury gazowe, które powodowały falowanie obrazu – to dawało wrażenie drgającego powietrza. Był też makijaż. I tutaj było zabawnie, bo Lorcan – który lubi ekstremalne środki wyrazu – bardzo pilnował, żeby Nicolas Cage zawsze miał dużo potu na czole. Cage’a to czasem irytowało. Wołał: „Lorcan, nikt się tak nie poci w tym filmie, tylko ja się pocę!” (śmiech). Ale to też miało znaczenie – chodziło o to, by jego postać przeżywała cierpienie z powodu utknięcia w miejscu, z którego nie może się wydostać. Włożyliśmy w ten film bardzo dużo symboli. Praca z symbolami zawsze jest inspirująca – każdy z nas, twórców, widzi coś innego, ma inne rozwiązania. I tym można się potem dzielić.

Wspomniał Pan po pokazie filmu „Surfer” w Kinotece, że zagrożeniem w oceanie, w którym kręciliście sceny, były rekiny?

Tak wygląda codzienność tego regionu. Opowiadałem o tym jako o anegdocie. My, Europejczycy, a mówię to z perspektywy Polaka, często kojarzymy Australię – może stereotypowo – z mnóstwem zwierząt, które mogą być zagrożeniem dla człowieka.

I rzeczywiście, te groźne zwierzęta również pojawiają się w filmie!

Zwierzęta pojawiające się w filmie nie stanowią zagrożenia dla człowieka, jednak różnią się od tych, które znamy z Europy. Lorcan postanowił uczyć z nich trzecioplanowych „aktorów” – komentujących zachowanie głównego bohatera, często w sposób ironiczny lub prześmiewczy. Jeśli chodzi o rekiny – tak, one tam są. I są naprawdę wielkie, sześciometrowe albo siedmiometrowe. Australijczycy mają własny sposób ostrzegania się przed rekinami. A my musieliśmy zrobić scenę w wodzie, finałową – tę, w której nasz bohater wchodzi do oceanu. Tego nie dało się nakręcić przy brzegu, bo tam była rafa i fale się załamywały. Żeby w ogóle dało się sfilmować aktora, trzeba było odpłynąć od linii brzegowej. Do tego dochodzili paparazzi – licznie siedzieli na plaży i robili zdjęcia. Musieliśmy więc wypłynąć na otwarty ocean. Tego w filmie nie widać, ale tak właśnie było. No i był lekki dyskomfort – oto jesteśmy poza ludzkim terytorium, w przestrzeni natury, która rządzi się swoimi prawami. I nie mamy na to wpływu. Opowiadałem o tym w formie anegdoty, ale rzeczywiście miałem to z tyłu głowy. Była nawet sytuacja, kiedy podczas zdjęć nasz skuter się wywrócił i wszyscy wpadliśmy do wody, nagle pogubieni, rozproszeni. Z reżyserem Lorcanem mamy bliską relację, sporo w niej żartów i humoru, ale jak wpadliśmy do wody kilometr od brzegu, to wymieniliśmy między sobą spojrzenia, które mówiły jedno: „Rekiny!”.

Ale chyba ich tam wtedy nie było.

Jak to jest pracować z taką gwiazdą, jak Nicolas Cage? Mamy często wyobrażenie, że gwiazdy bywają kapryśne i wymagające. Jak to wygląda w praktyce?

Przed wszystkim myślę, że pojęcie „gwiazdy” stworzyły media; to nie do końca funkcjonuje w naszym filmowym świecie. Osobiście nigdy nie spotkałem się z osobą, która budowałaby wokół siebie dystans w sposób utrudniający pracę. Mam wrażenie, że na planie wszyscy jesteśmy równi. Nawet jeśli pracujemy z utalentowanym, znanym aktorem, który już za życia stał się legendą, to ta praca przebiega bardzo profesjonalnie i sprawnie. Mogłbym nawet powiedzieć, że często jest bardziej efektywna niż z osobami, które dopiero zaczynają swoją drogę. Poziom doświadczenia Nicolasa Cage’a, jego intuicja, kreatywność i chęć, żeby nie utrudniać – to wszystko bardzo pomaga. Podobnie było też w innych przypadkach, kiedy pracowałem z takimi aktorami, jak Eva Green, Ellen Page czy Kate Mara – bardzo szybko okazywało się, że jesteśmy partnerami. Sam operuję kamerą, więc jestem bardzo blisko aktorów – komunikuję się z nimi technicznie, bo reżyser komunikuje się z nimi od strony artystycznej. Żeby ta współpraca działała, relacja musi być partnerska. Inaczej byłoby trudno. Nie spotkałem się z sytuacją, o której pani mówi, ale domyślałam się, że takie też istnieją. Tyle że ja nie chciałbym się z nimi konfrontować – to byłoby bardzo nieprzyjemne i dla filmu, i dla produkcji. Poza tym jest tak duży szacunek dla pieniędzy, które są wydawane na film, że nikt nie może sobie pozwolić na przestoje czy przerwy wynikające z tego, że ktoś ma kaprysy.

Pana relacja z Nicholasem Cage’em miała charakter czyisto zawodowy, czy zdarzało się wam rozmawiać o życiu, rodzinie?

To była bardzo profesjonalna relacja. Spotykaliśmy się w pracy i nie wychodziliśmy poza tę przestrzeń. Mam wra-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Radek Ładczuk: Podczas zdjęć mieliśmy lekki dyskomfort. Oto jesteśmy poza ludzkim terytorium, w przestrzeni natury, która rządzi się swoimi prawami. I nie mamy na to wpływu

żenie, że Nicolas Cage to osoba, która bardzo chroni swoją prywatność. Myślę, że miało to też związek z jego sytuacją - był wtedy z żoną i niedawno urodzonym, siedmiomiesięcznym dzieckiem. Na planie pracowaliśmy bardzo intensywnie. Po ciężkiej pracy nikogo nie stać na dodatkowe życie towarzyskie, a ja też nigdy nie mam takich oczekiwań. Dla mnie najważniejsze jest to, co dzieje się na planie. Oczywiście, bywa i tak, że niektórzy aktorzy są bardziej otwarci i chętnie integrują się z ekipą filmową. Jeśli tak się dzieje, też się temu nie opieram. To również jest w porządku.

Kiedy patrzył Pan na Nicolasa Cage'a przez oko kamery, to co Pan widział w jego oczach? W filmie jest wiele zbliżeń na jego twarz. Aktor tej klasy daje operatorowi wolność? Patrzy na siebie z dystansem?

Aktora tej klasy, a Nicolas Cage jest takim właśnie przykładem, nazywam filmowym zwierzęciem. Mówię to z perspektywy swojego zawodowego do-

świadczenia. On ufa reżyserowi i innym twórcom zaangażowanym w projekt. Jeśli ma jakąś konstruktywną uwagę, to ją wypowiada - i tak też był tutaj. A ten film powstawał wyjątkowo sprawnie, więc tych uwag było niewiele, i raczej nie dotyczyły one jego postaci. Nicholas Cage ma w sobie dużą pokorę i chęć dostosowania się. Często zdarzało się, że po prostu pytał: „Powiedz mi, gdzie mam stanąć”, bo to jest istotne - a cała reszta była już jego własną interpretacją. Pytał o to, gdzie stanąć, żeby trafić w kadr. To także aktor, któremu można opowiedzieć, jaki jest pomysł inscenizacyjny, co chcielibyśmy osiągnąć i on się do tego dostosowuje. Bo to bywa niezręczna sytuacja: reżyser z operatorem mają koncept na scenę, wiedzą, jak ma przebiec, w którym miejscu coś się wydarzy, a potem trzeba to umiejętnie przekazać aktorowi, który musi się tam poczuć swobodnie. W końcu to jego ciało, jego postać jest w tej przestrzeni. Nicolas Cage doskonale to ro-

zumie. Jeśli coś zostało zaplanowane przez reżysera, to widzi w tym sens, mądrość i nie walczy z tym. Dostosowuje się. Ale jeśli miał inny pomysł, mówił to od razu: „Słuchaj, nie czuję tego. Może zrobiłbym to tak”, pokazywał nam i wtedy zwykle przychodził ten klik: „OK, to też jest świetne”. Praca na planie to umiejętność szybkiej adaptacji. Decyzje zapadają w minutę. Nie ma czasu, żeby je rozkładać i analizować, bo istnieje realne zagrożenie, że nie zdążymy zrealizować zdjęć danego dnia.

„Surfer” dla jednych opowiada o kryzysie męskości, dla innych o konfrontacji z samym sobą, o odpuszczaniu, a jeszcze dla innych o szaleństwie. Pan jako autor zdjęć przechodził podczas realizacji filmu jakiś własny wewnętrzny proces?

Absolutnie tak. Mogę mówić tylko za siebie, bo nie wiem, jak to wygląda u innych operatorów, ale ja nie jestem operatorem technicznym, który po prostu realizuje wcześniej

przygotowany plan. Przepuszczam historię przez siebie. Lubię się zanurzać w tematy, które są wokół opowieści, a tutaj rzeczywiście pojawiał się temat kryzysu męskości. Pytanie, jak współcześni mężczyźni radzą sobie z nowym porządkiem, jak próbują na nowo zdefiniować swoją rolę. To również temat Jordana Petersona, temat obserwacji różnych męskich grup, w pewnym sensie nowoczesnych klanów, może w łagodniejszej formie, ale zbliżonych w strukturze do gangów - społeczności próbujących albo przywrócić tradycyjny porządek, albo zdefiniować go na nowo, że mężczyzna ma taką rolę, a kobieta inną. Było w tym z naszej strony sporo ironii, trochę przyglądania się temu z dystansem. Pamiętam, że zalogowałem się na Instagramie na profil Jordan Peterson Society, gdzie codziennie ktoś z osób, które tworzyły tę stronę, wrzucał twarz wygenerowaną przez AI, która „mówiła, jak żyć”. I miałem wrażenie, że wielu ludzi naprawdę potrzebuje porządkowania swojego życia, a szczególnie jest to istotne w obliczu kryzysu. Gdy wszystko, co zbudowaliśmy sobie w głowie, co było pochodną naszego wychowania, jest w ruinie i teraz trzeba na nowo się podnieść i stanąć, zostaje pytanie: jak? Ale w filmie myśmymy brali to w cudzysłów. Nie chcieliśmy, żeby ten film był dosłowny. Bardzo nam zależało, żeby ta grupa surferów - ten gang - była pokazana w sposób umowny. Gdyby akcja działa się na pustyni, mógłby to być gang motocyklistów. Ale ten surfing miał dla nas duże znaczenie, jako że jest też taki bardzo symboliczny. Czyli żeby dać się ponieść fali, wejść na fale. I tu, wracając do pani pytania - tak, jako autor zdjęć bardzo to przeżywam. To mnie inspirowało. Jestem wtedy w środku historii. Kiedy filmuję aktora, robię zbliżenie na oko Nicolasa Cage'a, to wkładam w to mnóstwo własnych emocji. Często mam też ów zwrotny feedback, że czuję, kiedy to, co przeżywam, staje się częścią tego, co rejestruje kamera. To bardzo ciekawe i, powiedziałbym, wręcz filozoficzne w odniesieniu tego, co jest na ekranie i co widz rozumie. Jestem tą osobą, która widzi i filmuje to, zanim zobaczy to widz. I mam ten przywilej, że jako autor zdjęć, operator kamery, mogę wpływać na to, jak historia opowiedziana przez reżysera zostanie zwiualizowana. To dla mnie bardzo satysfakcjonujące.

Dla mnie „Surfer” to także film o przetrwaniu. Dziś, kiedy jesteśmy tak bardzo uzależnieni od technologii, przetrwanie staje się ważnym tematem.

Dziennik Bałtycki
Piątek-niedziela, 2-4.05.2025

Czego ten film nauczył Pana o życiu i o samym sobie?

Myślę, że podjęcie tego tematu przybliżyło mnie do lepszej relacji z samym sobą. Nie w egoistycznym znaczeniu, ale w sensie odpowiedzialności - żeby nie szukać rozwiązań na zewnątrz, tylko w sobie. Wziąć odpowiedzialność za własne życie, za błędy, za swoją osobowość. I zaakceptować to, że na pewne rzeczy nie mamy wpływu. Ten film dał mi właśnie taką akceptację. To był dla mnie osobiście ważny moment. Jestem w wieku bohatera, jego zmagania są, albo były, także moimi tematami. Myślę, że wielu mężczyzn może się z tą postacią identyfikować. I z pewnymi rzeczami, które ten bohater przeżywa. Ja przynajmniej tak miałem.

Na przedpremierowym pokazie filmu byli obecni także Pana rodzice. Z jakiego świata Pan pochodzi? Jak było Pana dzieciństwo? W rodzinnym domu była obecna sztuka?

W naszym domu nie było sztuki. Pochodzę z domu, gdzie rodzice dużo i ciężko pracowali, ale również otaczali mnie i moją siostrę troską. Dziadkowie pochodzili z wioski spod Lwowa. To byli Kresowiaci, którzy po wojnie musieli spakować cały swój dobytek, przeżyli tragedię wołyńską i ruszyli na zachód jako osadnicy. Tam zaczęli nowe życie. Moim rodzicom było już łatwiej, ale wszystko, co mają, wypracowali sami. Mama przez całe życie zajmowała się gotowaniem, tata wypiekał ciasta. Wychowałem się w Konińcu. To, że dziś wykonuję ten zawód, cały czas mnie zaskakuje. Sam do końca tego nie rozumiem, ale idę za swoją intuicją. To ona prowadzi mnie przez życie.

Łódzka Szkoła Filmowa to było dla Pana spełnienie marzenia czy przypadkowa przygoda, która odmieniła życie?

To była konsekwencja. Wcześniej dostałem się na kulturoznawstwo w Poznaniu - skończyłem pięcioletnie studia. One mnie otworzyły na kulturę i sztukę, dały mi solidny fundament. I właśnie tam pojawił się pomysł, żeby spróbować w Szkole Filmowej. To, że się tam dostałem, było absolutnym spełnieniem marzeń. Myślę, że - jak wielu z nas - bardzo mocno na to pracowałem.

Jest taki film, który szczególnie Pana odmienił: osobiście, wewnętrznie? Taki, przy którym praca stała się przełomem?

To jest proces, ale czasem mam wrażenie, że moja praca toczy się równolegle z życiem. Projekty, które spotykam na swojej drodze... Nie wiem, jak to działa i co jest pierwsze: czy to ja coś inicjuję, czy to te

historie trafiają do mnie w jakiś magiczny sposób. Ale tak, było kilka istotnych projektów. Pierwszym był film „Sala samobójców” w reżyserii Jaśka Komasy. To był dla mnie ważny film, bo wcześniej byłem dokumentalistą i miałem trudność z filmem fabularnym, z wyobrażaniem sobie historii. Wcześniej zrobiliśmy razem Teatr Telewizji - „Golgotę Wrocławską”. To była dla nas obu bardzo dobra współpraca. Później dostałem od Jaśka zaproszenie do pracy nad scenariuszem „Sali samobójców”, który jak na tamte czasy był bardzo nowatorski i świeży. To był mój pierwszy ważny film. Drugim takim doświadczeniem była współpraca z izraelską reżyserką Tali Shalom Ezer. Zrobiliśmy razem trzy filmy. I to właśnie dzięki tym kontaktom trafiłem do Australii, gdzie zrealizowałem film, który miał dla mnie chyba największe znaczenie: „The Babadook”.

Horror.

Tak. To był film gatunkowy i to on odkrył przede mną ten świat. Pokazał mi, że kino może wyglądać zupełnie inaczej. Że myślenie o filmie może być inne. Że kino może być przypowieścią. Wydaje mi się, że „The Babadook” najbardziej mnie zainspirował. To, co robię dziś, jest poniekąd kontynuacją tamtego odkrycia, chociaż jako twórca bardzo lubię wyzwania i robienie rzeczy, których wcześniej nie dotykałem. Nie chciałem powtarzać wciąż tego samego filmu. Za każdym razem chciałem robić coś, co jest dla mnie nowe. To moje założenie, chociaż wiadomo, że z jednej strony to intencja, a z drugiej życie pokazuje, jak to wychodzi. Ale do tej pory właśnie tak to wygląda.

Kiedyś poznałam małżeństwo Australijczyków. Mówili, że Australia to kraj, w którym żyją najszczęśliwsi ludzie na świecie. Też Pan tak myśli? Chciałby Pan tam wrócić?

To piękne, kiedy mieszkańcy tak myślą o swoim kraju i o sobie. Zgadza się z tym, bo rzeczywiście, gdy pomyślę o tych wszystkich miejscach, w których byłem... Okej, Włochy mają bardzo szczególne miejsce w moim sercu, ale jeżeli miałbym wskazać krainę szczęśliwości, dobrego samopoczucia, uśmiechu i serdeczności, to zdecydowanie byłaby to Australia. Chociaż trzeba pamiętać, że ten kraj ma również swoją bardzo mroczną stronę. Historia Australii jest trudna i nieprzepracowana. O tym był zresztą film „The Nightingale”, który zrobiłem z Jennifer Kent. Odpowiadając na pani pytanie, czy będę do Australii wracał - tak, jest taka szansa, że będę robił kolejne filmy z Jennifer Kent właśnie w Australii.

ŚLADAMI MALARZA SPRZED WIEKU W TLE ZAKŁAD O 300 TYS. ZŁOTYCH

Błąd w drzewie rodzinnym, przypadkowy grób w Jerozolimie i nazwisko, które wyglądało znajomo. Wydawało się, że skończy się na ciekawostce z genealogii. A jednak to wystarczyło, aby zapalić iskrę podróżnika, która płonie po dziś i prowadzi przewodnika Piotra Lechowskiego do Brazylii i z powrotem

Maciej Szymkowiak

Piotr Lechowski podróżuje śladami malarza Brunona Bronisława Lechowskiego. Dziś jego wędrówka to z jednej strony pomnik pamięci o zapomnianym malarzu i idealiscie. A z drugiej historia o niesamowitym hobby.

Wrzesień 1924 roku, warszawska kawiarnia. W powietrzu unosi się zapach mocnej kawy, papierosowego dymu i intelektualnej przekory. Grupa bankierów snuje wizję przyszłości: język polski to przeżytek, przyszłość należy do niemieckiego i angielskiego. I wtedy wstaje on – artysta z Warszawy, Brunon Lechowski, i mówi:

– Panowie, objadę świat dookoła, mówiąc tylko po polsku. Bez pieniędzy. I każdą złotówkę, którą zarobię, przeznaczę na dom artysty w Warszawie – tak wspomina odkrycie Piotr Lechowski, który symbolicznie rekonstruuje jego trasę.

Słowa malarza nie były żartem, tylko manifestem i rodzajem zakładu, z którego Brunon się nie wycofał. I choć go prawdopodobnie nie wygrał – bo wyprawy dookoła świata nie zrealizował – to jego podróż skończyła się nadzwyczajnie. Chciał przekonać świat, że język sztuki nie zna granic, więc polszczyzna w zupełności mu wystarczy.

Przypadek w Jerozolimie

Blisko sto lat później, w Jerozolimie, Piotr Lechowski odwiedza cmentarz. Przypadkiem trafia na grób z własnym nazwiskiem. Postanowił sprawdzić, kto leży w Świętej Ziemi.

– Jak to zwykle bywa, wszystko zaczęło się od przypadku, który potem okazał się... błędem. Ale po kolei. Kiedyś, będąc w Jerozolimie, natknąłem się na grób osoby o tym samym nazwisku co ja. Mój wujek przesłał mi wtedy drzewo genealogiczne, z którego wynikało, że to... brat mojego pradziadka – to opowiada Piotr Lechowski. – To

mnie wciągnęło. Zainteresowałem się genealogią. I w drzewie rodzinnym trafiłem na jeszcze ciekawszą postać: Brunon Lechowski – artysta-malarz, urodzony w Warszawie w 1887 roku, zmarły w Rio de Janeiro w 1941. To było wszystko, co wtedy wiedziałem.

Zaczął googlować, przeszukiwać gazety, archiwa, katalogi wystaw. Przez pięć lat znalazł setki śladów, ale brak konkretnych. Postanowił podążać śladami Brunona, aby jak najwięcej się o nim dowiedzieć. Odwiedza te same miejsca, co jego poprzednik sto lat temu.

– W archiwach znalazłem coś na kształt jego manifestu. Uważał, że artyści mają trudne życie. Bo nie każdy jest przecież Janem Matejką. Chciał, żeby ich wspierać. Sam nie chciał sprzedawać obrazów, bo marzył, żeby za oglądanie sztuki płacono jak za koncert: kupujesz bilet, podziwiasz, odchodzisz. Pragnął utrzymać więź między dziełem a widzem i jednocześnie zapewnić artyście stabilny dochód – opowiada Lechowski.

Taki dom artysty miał pełnić kilka funkcji – być galerią, miejscem konferencji, systemem emerytalnym, a z czasem wręcz siecią międzynarodową, w której artyści mogliby się wspierać. I to był prawdziwy powód jego zakładu.

– Opieniądze ludzie się kłócą, o minerały walczą, ale kiedy ktoś stworzy piękny utwór muzyczny, to jest uniwersalny. Postanowiłem, więc odkryć jego dalsze losy, zwłaszcza że trafił na grób, że podobnie się urodziliśmy. On w 1887, ja w 1988. Różnica paru miesięcy i wieku. On podróżował, ja pracuję w turystyce, więc wszystko się dla mnie łączyło.

Później postanowił zatrudnić genealogkę. Niestety przy szczegółowym sprawdzaniu więzów krwi okazało się, że to tylko zbieżność nazwisk.

– Nie jesteśmy rodziną, ale już zainwestowałem tyle czasu



Piotr Lechowski symbolicznie rekonstruuje trasę malarza Brunona Lechowskiego

i energii w to wszystko, że postanowiłem kontynuować – opowiada Lechowski.

Podróż za duchem przeszłości

Symboliczny start: Warszawa. Marszałkowska – dziś siedziba nowego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Tu miał niegdyś mieszkać Bruno. Ironia losu, ponieważ można rzec, że jego wymarzony dom artysty faktycznie stanął, tylko w innej formie.

Potem Częstochowa: sylwester w hostelu robotniczym. Nowy Rok na Jasnej Górze oświadczył, że podobnie się urodziliśmy. On w 1887, ja w 1988. Różnica paru miesięcy i wieku. On podróżował, ja pracuję w turystyce, więc wszystko się dla mnie łączyło.

– W Łodzi pracowałem jako biletter w miejskiej galerii sztuki. Udało mi się nawiązać kontakt z tą galerią i zrobić tam perfor-

mance. Sprzedawałem bilety tak jak on, wzorując się na zdjęciu z „Tygodnika Ilustrowanego”. Zrobiliśmy rekonstrukcję, wyszło bardzo fajnie – wspomina Piotr. – Brunon zawsze miał ze sobą swoją księgę pamiątkową, do której zbierał podpisy napotkanych osobistości, odwiedzonych redakcji lokalnych gazet, przedstawicieli miast i świata sztuki.

Po Łodzi był Kalisz i tam Piotr zatrzymał się w hotelu Europa, dokładnie tym samym budynku, w którym spał Bruno. Nazwa ta sama, budynek przebudowany, ale przynajmniej ciągłość miejsca jest zachowana.

Do Poznania Bruno przyjechał 17 lutego i przebywał ponad miesiąc, w którego trakcie zarabiał pieniądze np. sprzedając malowane przez siebie baloniki na pl. Wolności. Udało mu się tu sfinansować konstrukcję podróżnego namiotu będącego równocześnie obwoźną wystawą jego obrazów. Namiot ten został oficjalnie zaprezentowany w Poznaniu na placu

Wolności 29 marca. Wstęgi przecięł wiceprezydent Kiedrzycki, a poświęcił ksiądz dziekan prałat Mayer. Uczestniczył także w Balu Prasy w Zamku Cesarskim oraz malował wewnątrz kawiarni Dobskiego przy Fredry 12, dzierżawionej od Teatru Wielkiego.

– W Poznaniu Bruno spędził sporo czasu, ponad miesiąc – prawie półtora – a paradoksalnie informacji o jego pobycie tutaj jest bardzo mało. Nie udało mi się ustalić, gdzie mieszkał. Wiadomo tylko, że wystawiał swoją sztukę przy Placu Wolności 7. Zatrzymałem się więc pod numerem 6, żeby być jak najbliżej tego miejsca – opowiada nam w redakcji „Głosu Wielkopolskiego”.

Na drugi kraniec świata

Co dalej w planach? Praga, Wiedeń, Triest, Piran, transatlantyk, Rio de Janeiro. Gdy Bruno dopłynął do Ameryki Południowej, miał już kilku „followersów” – jak żartuje Piotr.

– W okolicach Triestu jest miasteczko Piran. Bruno mieszkał tam przez miesiąc – zdaje się, że w sierpniu – a z końcem tego miesiąca albo na początku września wsiadł na transatlantyk do Rio de Janeiro. Gdy dotrę do Triestu, wracam jeszcze na chwilę do Polski, a potem ostatni etap: jachtostop do Brazylii. Bo samolotem byłoby za łatwo i nieprawdźwie – opowiada Lechowski.

Potem Kurytyba, São Paulo, wreszcie farma pod Rio. Tam, pod koniec życia, Bruno organizuje obozy dla uchodźców. Uczy, maluje, robi dżemy. Umiera w 1941 roku, nie doczekawszy końca wojny. Bez fajerwerków, bez pomników.

– Planuję badania terenowe w Brazylii przez dwa, trzy miesiące. Plan jest taki, żeby 31 grudnia – dokładnie rok od startu w Warszawie – symbolicznie zakończyć wyprawę świeczką na jego grobie w Rio – stwierdza Piotr.

Wyprawa nie ma sponzorów. Nie ma transmisji live, bannerów, vlogów z drona. Piotr podróżuje sam. Robi to hobbyistycznie, nie zarabia na tym. Nie żałuje też, że Brunon nie okazał się jego krewnym, bo jego życiorys nie jest krystaliczny. W Polsce malarz zostawił żonę z córeczką. Nową rodzinę założył w Brazylii.

Przyznaje, że stara się odnaleźć przodków Brunona, zarówno tych z Polski, jak i Brazylii. Pierwszych nawet namierzył, ale na razie bez odzewu.

– Dla mnie to po prostu ogromna frajda. Coś w stylu detektywistycznego śledztwa. Odkrywam rzeczy, których nie ma w Google, nie ma w Wikipedii. W Archiwum Akt Nowych w Warszawie wsiadłem na setki godzin. Przeglądałem raporty w nadziei, że znajdę jego nazwisko. I parę razy faktycznie je odszukałem. To daje niesamowite uczucie. Jakbym wyciągał z niebytu ważną historię – kończy.

FOTO*komentarz tygodnia*



28 KWIETNIA, WARSZAWA Do pierwszej tury wyborów prezydenckich ponad dwa tygodnie, a my mamy za sobą już cztery debaty kandydatów. Idziemy na rekord w ich liczbie. Ostatnia nie miała może takiej dramaturgii, jak poprzednie, ale zagranie z flagą Rafała Trzaskowskiego zostanie zapamiętane na długo



18 KWIETNIA, WARSZAWA W Polsce przez dwa dni trwał 10. szczyt inicjatywy Trójmorza. Pojawili się reprezentanci 13 krajów ją tworzących, a także sekretarz USA ds. energii Chris Wright



29 KWIETNIA, NIEMCY Przepiękne zdjęcie jeziora Walchensee w Bawarii. Ale przecież jesteśmy w trakcie majówki, w tym roku wyjątkowo długiej. To idealny moment na oglądanie takich widoków

REJSUNKI



28 KWIETNIA, HISPANIA Gran Via – najważniejsza ulica Madrytu. Zawsze gwarna i tłoczna. Najważniejsza arteria miasta, która wyznacza puls życia w stolicy Hiszpanii. Na zdjęciu jest jednak pusta, wygląda jak kadr z postapokaliptycznego filmu. I trochę tak było, gdyż Hiszpanię (podobnie jak sąsiednią Portugalię) dotknęła potężna awaria elektryczności. Prąd został wyłączony na całym Półwyspie Iberyjskim, ale także w południowej Francji. Nie działały pociągi, metro, sieci komórkowe i internetowe, ludzie utknęli w windach. Wszędzie zapadła ciemność. A my na własne oczy zobaczyliśmy, jak ciemność paraliżuje, i jak nasza cywilizacja jest uzależniona od elektryczności

RYŚ. ISKRA

FOT. PAP/EP



PULS
#162

DLACZEGO BIAŁO-CZERWONA?

Leszek Waligóra

W PIERWSZEJ?
NA SIEBIE

W

iemy już jedno. Z kandydatów na prezydenta RP dałoby się stworzyć reprezentację Polski w piłce nożnej. Rozgrywki nie są koedukacyjne, więc panie

na ławę. A szkoda. Ale poza tym reprezentacja ta w niczym nie ustępowałaby tej obecnej, w której i tak suma znamienitych piłkarzy przekłada się na ujemny efekt. W tej drużynie z rzadka ktoś komuś piłkę by podał, część sfaulował, a już wszyscy razem niekoniecznie grabiliby w stronę tej samej bramki. I trenerów miałyby tylu, co obecna. Jakies 20 milionów. W związku z tym mam kilka propozycji usprawniających proces wyborczy. Proszę na mnie w związku z ich znakomitością nie głosować, nie wybieram się na żaden stolec.

Po pierwsze primo, najbardziej poważnie: umożliwmy wszystkim Polakom sprawdzenie, na czyich listach poparcia znalazły się nasze pesele. I ile razy. Bo coś mi świta, że bez naszej wiedzy nasze własne dane śmigają po tych listach od lewa do prawa. Patrząc na to, że 13 kandydatów łącznie zebrało podpisy ponad 4,5 miliona osób, co piąty uprawniony do głosowania Polak się podpisał. Serio? Wierzę, że znalazło się w Polsce 100 tysięcy osób, które na każdym rogu widzą Żyda, być może są oni zawsze z nimi w pokoju, jak u pana Brauna. Ale nie mogę uwierzyć, że znalazło się 100 tysięcy żyjących osób, które z własnej i nieprzymuszonej woli chciały, aby ich kandydatem w wyborach stał się pan Maciak. Według sondaży ma zero procent poparcia. Zero procent z 24 milionów uprawnionych do głosowania, nie daje 100 tysięcy. We Włocławku zdobył 2500 głosów w wyborach na prezydenta miasta. Nie został nawet radnym. A wtedy nie miał szansy wychwalać publicznie Putina. Może on kraj pomylił? Ale skoro sąd uznał, że listy poparcia ma prawdziwe... nie, nie wierzę.

Po drugie: proponuję zrezygnować z kampanii wyborczej. Po co? I tak każdy wie, na kogo głosować. Tylko niech kandydaci zdadzą jeszcze kilka testów. Czy potrafią się podpisać i zawetować. Czy odróżniają przewód doktorski od przewodu z prądem. Czy potrafią ładnie maszerować. Czy podają prawą rękę, siorbią lub mlaskają, czy potrafią się uczyć, ciągle uczyć. Językami mówić nie muszą, ale sprawdźmy. A jak któryś chce być prezydentem osiedlowej siłowni, to niech pokaże, ile wyciska.

Po drugie: zróbmy im test na wariografie. Podpisze czy nie podpisze - i tu tytuły stu ostatnich ustaw i nowelizacji, jakie dostał do podpisu ustępujący prezydent oraz 100, które ma dostać. A jak już zostanie delikwent wybrany, to za pierwszą ustawę, której nie potraktuje zgodnie z wcześniejszą deklaracją, wylot. A na stolec prezydencki następny z kolejki. A, i jeszcze jedno pytanie na wariograf: kogo będzie bardziej słuchał. Kota? Żony? Męża? Wróżby z fusów? Kochanki? Prezesa? Jakiegoś innego prezydenta? Kolegów z podwórka?

Bo umówmy się, ten prezydent to ma tylko jedną kompetencję: podpisać się lub nie. Może wysadzać w powietrze każdy pomysł rządu, albo podpisywać każdą głupotę, nawet nie sprawdzając co podpisał. To już kandydat na wójta ma więcej władzy i przynajmniej, z reguły, zna zakres tej władzy. Ale jak już ustaliliśmy: niektórzy z kandydatów na prezydenta, nie wygrało wyborów na wójta. Dlaczego więc, na miły bóg, polski system wyborczy dopuścił do walki o pilnowanie żyrandolu, gości z kreskówki? Cały aparat państwa, milionowe budżety, komisje wyborcze, sądy, debaty, po to, żeby przez kilka miesięcy oglądać stand-up kilku mniej lub bardziej poważnych aktorów, z których i tak prawie żaden jak dotąd nie był pierwszym garniturem polityki, otoczonych grupą pociesznych postaci z programem wyborczym na przewodniczącego trzeciej c?

Dajcie nam, błagam, sprawdzić te pesele.

Adam Bula

OGÓLNOPOLSKI DZIEŃ ROBIENIA
KASZANY JEST... CO DZIEŃ

O

bczajcie, proszę, tę sekwencję: 30 kwietnia - Między-

narodowy Dzień Sprzeciwu Wobec Bicia Dzieci. 1 maja - Międzynarodowy Dzień Kaszanki. 2 Maja - Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej. Wychodzi mi z tego, że ciągle pozwalamy się panoszyć chamom i prostakom, którzy z każdego święta i symbolu potrafią zrobić zadymę i kaszanę, zaraz potem, jak już sponiewierają dzieci. Bo Dzień Kaszany mamy wpisany w polski kalendarz na stałe. W każdym dniu.

Oczywiście, pretekst do tych skojarzeń ciągnie się z Końskich, które kandydat Nawrocki, tłumacząc się z porzuconej flagi polskiej, potraktował jak zdobyte wzgórze. Tę flagę zgrabnie rozegrał sztab kandydata Trzaskowskiego na późniejszej o dwa tygodnie debacie w redakcji „Super Expressu”.

Zauważmy więc tylko, że Nawrocki w swych tłumaczeniach bliższy jest tradycji ord wschodnich, które tereny najeżdżały, łupiły i porzucały, prac dalej, niż tradycji wojskowej białego człowieka, gdzie barwy i symbole to wartość najwyższa, chroniona z pietyzmem na wieki.

Nawrocki wrzucił jeszcze, na swoje nieszczęście, coś o Polakach zatykających flagę na zdobytym Monte Cassino... Na jego szczęście niewielu zwolenników doczyta info, że ta flaga jest przechowywana w muzeum Sikorskiego w Londynie. Podobnie jak słynną flagę z Iwo Jimy można odnaleźć w Narodowym Muzeum Korpusu Piechoty Morskiej.

Owszem, dość śmiesznie wyszli ci politycy PiS, którzy na wejście Trzaskowskiego z zastawioną przez Nawrockiego flagą oburzali się, że to tanie efekciarstwo. Uwielbiam to bezwstydne obnoszenie się z połową mózgu, bo gdyby go na moment złączyć, to nie sposób pominąć, że zabawę w granie flagami traktowanymi jak gadżet zaczął Nawrocki. No ale ja nie o tym.

Ja chciałem o tym, że każde nasze przyzwolenie na chamstwo i prostactwo, na hejt i zwykłe kłamstwa, ośmiela złych ludzi. Bo nic nie dzieje się w próżni. Mógł kandydat Braun bezkarnie zrobić najazd na szpital w Oleśnicy - dziś mamy

zabitego lekarza w Krakowie i zaatakowaną przez pacjenta learkę w Częstochowie.

Lecz przede wszystkim mamy tu robioną - jak wszędzie i ze wszystkim - obrzydliwą kaszanę. Nie chcę epatować słowem, które mam w ustach, gdy słyszę obrońców życia, mówiących bez mrugnięcia okiem, że zabity zastrzykiem w łonie matki 9-miesięczny płód „mógł się urodzić i normalnie żyć”. Nie chcę się kłócić o definicję, dajmy więc wersję kanoniczną dla tych >obrońców życia<: „zabito chłopczyka, który mógłby normalnie żyć, a może po prostu częściej niż inni miałby rękę czy nogę w gipsie”.

No bo właśnie nie mógłby!!! - co wie każdy, kto poświęci minutę, by się dowiedzieć, czym jest łamliwość kości typu 2. Mógł tylko urodzić się w męczarniach, by chwilę potem w męczarniach skonać. Nie mówię, że to tłumaczy tak późną aborcję, czy aborcję w ogóle. Mówię, że pomijanie tego faktu przy tej konkretnej sprawie jest robieniem obrzydliwej kaszany na cudzej, ogromnej tragedii, dla szybkiego, politycznego zysku.

Zresztą, sprawa Oleśnicy nie jest dla was czarno-biała. To zobaczcie to: polityk wrzuca sobie swobodnie na socjale wpis, linkując do gorącego jeszcze newsa RMF FM o zabójstwie w Krakowie. I pisze sobie: „Niestety lekarz stał się ofiarą polityki migracyjnej obecnego rządu”.

I ten Piotr Cieplucha, były wiceminister, zastępca Ziobry, gość z jądra Suwerennej Polski, robi to na zimno, by przypomnieć się i błysnąć pryncypałem, bo dziś jest tylko radnym w Łodzi. Robi to na zimno, bo w tekście, do którego odsyła, nie ma śladu sugestii, że zabójcą mógłby być imigrant. Choć jeszcze nie było wiadomo, że to Polak-katolik z Jędrzejowa.

Więc teraz zdziwicie się, że ja - stary dziennikarz - jestem dziś za radykalnym ściganiem mowy nienawiści i hejtu. Dziwicie się? To popatrzcie, kto dziś najbardziej krzyczy w obronie zagrożonej takim ściganiem „wolności słowa”. Zgadliście - kumple Cieplucha.

A dopóki ktoś taki po czymś takim nie zostanie z buta przeczołgany przez prawo i sprawiedliwość, będzie nam wszystkim robił dziadostwo ze wszystkiego. Jak tysiące równie bezkarnych jego kolegów po fachu - szczucia i kłamania. W nadziei na polityczne zyski z robienia nam co dzień Dnia Kaszany.

Cała Europa, a zwłaszcza nasz region graniczący z Rosją, powinna mówić jednym głosem. Wszyscy chcemy, aby Europa i Stany Zjednoczone pozostały silnymi partnerami. Wszyscy chcemy, aby ta wojna zakończyła się sprawiedliwie - bez żadnych nagród dla Putina, a zwłaszcza bez ani jednego kawałka ziemi

PREZYDENT UKRAINY WOŁODYMYR ZEŁENSKI NA SZCZYCIE TRÓJMORZA

PRZEMYSŁAW REY: BIEL NIE OZNACZA CZYSTOŚCI, A CZERWIEN NIE JEST KRWIĄ PRZELANĄ ZA OJCZYZNĘ

– Barwy narodowe mają konkretne pochodzenie heraldyczne: biały od Orła Białego, czerwony od tarczy. O tym, dlaczego symbole narodowe powinny łączyć, a nie dzielić, dlaczego flaga z godłem nie jest ozdobą balkonową oraz jakim człowiekiem był Józef Wybicki – mówi Przemysław Rey, kurator Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie

Anita Czapryn

2 maja wywieszamy flagę – ale co właściwie kryje się za barwami narodowymi, za bielą i czerwienią?

To dobre pytanie, zwłaszcza że nawet w podręcznikach szkolnych powtarzane są mity, które mocno zaciemniają prawdziwe znaczenie naszych symboli narodowych. Dzieci, które przychodzą do naszego muzeum, bardzo grzecznie deklamują, że biel to czystość i niewinność, a czerwień to krew przelana za ojczyznę – i choć to brzmi pięknie, to jest to po prostu nieprawda. Po pierwsze, w polskiej heraldyce nie przypisywano kolorom znaczeń – to zwyczaj znany z heraldyki zachodnioeuropejskiej. Jeśli zaś chodzi o barwy narodowe, mamy bardzo konkretne źródło, które wyjaśnia ich pochodzenie. Dyskusja na ten temat odbyła się 7 lutego 1831 roku w Sejmie Królestwa Polskiego, w czasie powstania listopadowego. Sejm obradował wtedy nad barwami kokardy narodowej, która wówczas była ważnym symbolem rozpoznawczym – również dla narodów. Zgłoszono wówczas projekt Walentego Zwierkowskiego, który jednoznacznie wskazywał, że biel pochodzi od Orła Białego, a czerwień – od koloru tarczy. Zresztą większość współczesnych flag pasowych przedstawia barwy pochodzące z herbów narodowych – tak jest na przykład w Niemczech, na Ukrainie i w wielu innych państwach. To bardzo prosty system: przełożenie barw herbowych, pierwotnie obecnych na kokardzie, która po rozwinięciu przybrała formę flagi. To przejrzysty układ, bez drugiego dna, a jednocześnie niosący istotne znaczenie – chociażby pokazujące, dla

czego biały jest na górze, a nie odwrotnie. Bo znak heraldyczny, w tym wypadku Orzeł Biały, jest ważniejszy niż tarcza, która stanowi jego tło.

Skąd więc wzięła się czerwień na tarczach?

Tu musimy sięgnąć do średniowiecza. Pierwsze znaki heraldyczne były jak współczesne logotypy – chodziło o to, by były dobrze widoczne i łatwe do rozpoznania z daleka. Dlatego stosowano kolory i symbole o dużym kontraście, takie jak biel i czerwień. Ale, co ciekawe, nasza biel w heraldyce wcale nie jest bielą, podobnie jak żółć – nie jest żółcią. Obie barwy symbolizują metale: biały to srebro, żółty to złoto. Tak naprawdę nasz Orzeł Biały jest srebrny – i to też znajduje odzwierciedlenie w ustawie o symbolach narodowych. Tam barwa biała na fladze nie jest opisana jako śnieżnobiała, tylko jako srebmo-biała.

Dzień Flagi liczy niespełna 20 lat. Dlaczego potrzebowaliśmy osobnego dnia dla flagi i dlaczego tak długo na nie czekaliśmy?

Mam pewien problem z tym świętem – chodzi o to, że istnieje zasada, wedle której wszystkie symbole narodowe są równe. Nie rozumiem, dlaczego ustanowiono święto wyłącznie flagi, a nie wszystkich symboli narodowych. Zwłaszcza że tego dnia i tak prezentuje się wszystkie symbole. Moim zdaniem rozsądniej byłoby przemianować Święto Flagi na Święto Symboli Narodowych – wtedy wszystko byłoby jasne. Sama flaga jest w pewnym sensie pochodną herbu czy godła państwowego –

zresztą jest między nimi pewna różnica.

Czym różni się godło od herbu?

Te słowa nie są tożsame, choć bardzo bliskie. Godło oznacza znak. Godłem państwowym jest symbol, który ustawowo został uznany za symbol państwa – w naszym przypadku to herb o nazwie Orzeł Biały. W przedwojennej ustawie o symbolach narodowych był zapis, że mamy dwa godła: herb państwowy oraz pieczęć państwową z orłem. To znaczy, że godłem mogą być różne rzeczy. Herb składa się z wielu elementów, ale są dwa główne: znak heraldyczny, czyli tzw. godło heraldyczne, oraz tarcza. Godłem heraldycznym jest sam wizerunek orła. Do tego dochodzi czerwona tarcza – razem tworzą herb Orzeł Biały, pisany wielką literą, bo to nazwa własna. Generalnie, godłem jest herb. Więc jeśli ktoś mówi, że mamy herb – ma rację. Jeśli mówi, że mamy godło – również ma rację. Ale jeśli ktoś twierdzi, że mamy godło, a nie mamy herbu – to już się myli.

Skąd się wziął Orzeł Biały na naszym herbie?

I tu bardzo ładnie nawiązujemy do obchodzonej w tym roku rocznicy Tysiąclecia koronacji Chrobrego. Według Długosza, podczas zjazdu gnieźnieńskiego – oprócz tego, o czym uczymy się w szkołach, czyli wymiany darów i podatków – Otton III nałożył koronę na głowę Chrobrego, przekazał mu włócznię świętego Maurycego, a także, zgodnie z relacją Długosza, herb Chrobrego został uhonorowany prawem do posługiwania się symbolem srebrnego orła. Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemiec

kiego nawiązywało do tradycji starożytnego cesarstwa rzymskiego. Złotego orła używał cesarz rzymski, natomiast srebrny był symbolem rzymskiego patrycjatu. Według Długosza, nadanie Chrobremu tego znaku było uznaniem jego wyjątkowej pozycji w obrębie Cesarstwa – bo patrycjusze również byli elitą władzy. Było to więc wyniesienie Chrobrego do rangi władcy europejskiego – nie tylko przez przekazanie diadememu cesarskiego, ale także przez przyznanie prawa do srebrnego orła. Oczywiście, Długosz żył 400 lat później, więc mógł nieco ubarwić fakty, ale od tego momentu symbol orła pojawia się u Piastów. Co prawda, słynna moneta z ptakiem przypominającym bohatera „Świnki Peppy”, według współczesnych numizmatyków przedstawia raczej gołębia albo pawia, a nie orła. Ta moneta – drukowana obecnie na złotówce – jest jednak ważna z innego powodu: po raz pierwszy pojawiła się na niej nazwa „Polska”. Od tamtego czasu Piastowie zaczęli używać orła jako osobistego znaku, herbu rodzowego, a od 1295 roku Przemysław II rozciągnął ten symbol na całe państwo – odtąd Orzeł stał się godłem Polski. To właśnie sprawia, że jest on najstarszym polskim symbolem narodowym. Barwy narodowe są pochodną herbu Orzeł Biały, choć jednocześnie stanowią równorzędny symbol państwowy.

W okresie PRL orzeł nie miał korony.

Owszem. Uznano, że korona symbolizuje społeczeństwo klasowe i nie przystaje do tradycji socjalistycznej. Ciekawostką jest natomiast, że w cza-

sach królów elekcyjnych na piersi orła pojawiała się tarcza sercowa z herbem rodu, z którego pochodził dany monarcha. Ponieważ nie było wówczas dynastycznej ciągłości, rodziny królewskie nie używały Orła Białego jako swojego herbu w pełni – dlatego należało wskazać, kto aktualnie sprawuje władzę, ale jednocześnie nie odbierać państwowego herbu na stałe. To właśnie po tarczy sercowej umieszczonej na piersi orła można rozpoznać okres królów elekcyjnych. Herb się zmieniał, ale w sposób zrozumiały dla ówczesnych mieszkańców Polski. Wokół korony toczy się zresztą do dziś sporo dyskusji – niektórzy twierdzą, że zamknięta korona symbolizuje państwo niepodległe, a otwarta – nie. To nieprawda. Zamknięcie korony wynikało raczej z praktyki – każdy kolejny władca starał się ją przyozdobić, więc trzeba było ją usztywnić. To był po prostu zabieg techniczny, bez ideologicznego znaczenia.

Co Orzeł Biały ma wspólnego z bielikiem – który, jak wiemy, orłem właściwie nie jest?

W herbie Orzeł Biały przedstawia pierwotnie bielika, czyli największego ptaka drapieżnego północnej Europy. Fascynował on właśnie ze względu na swoją potęgę. Zresztą fascynacja ptakami drapieżnymi sięga starożytności – uważano, że są one posłańcami bogów. W Rzymie orzeł stał się symbolem Cesarstwa, a kraje chcące nawiązywać do tej tradycji – jak Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego – przejęły ten znak. Poprzez Chrobrego symbol ten trafił do Polski. Bielik – jako największy drapieżnik kontynentu (większy jest tylko orłosep, ale z racji swojego wyglądu, mniej „reprezentacyjny”) – potocznie nazywany jest orłem, ale według ornitologów to orłan, prawdopodobnie z rodziny jastrzębiowatych. Znajomy leśniczy, który opiekuje się bielikami, opowiadał, że wcale nie są takimi groźnymi łowcami, za jakie się je uważa – 70 procent ich diety to ryby i ptactwo wodne, a poza tym żywią się padliną i tylko sporadycznie polują na ssaki. Nie są też tytanami odwagi – pokazywał mi nawet zdjęcia, jak krulki przeganiają bieliki. Ale rozpiętość skrzydeł – sięgająca 2 metrów i 40 centymetrów – to robi ogromne wrażenie. Wrażenie ma duże znaczenie.

Robią też wrażenie majestatem.

Tak, ale do heraldyki został przeniesiony w sposób bardzo uproszczony. W wersji herbu, którą mamy obecnie, bielik ma na przykład złote pazury, choć w rzeczywistości ptaki te mają nieopierzone skoki – te części powinny być w herbie złote. To widać choćby w wersji orła stosowanej przez ministerstwa –

tam nogi są całe złote. Jest wiele takich drobnych rozbieżności, które pokazują, że z jednej strony to rzeczywiście bielik, a z drugiej – że narysowany niekoniecznie zgodnie z realiami. Toczy się dyskusja o kształcie orła, o tym, czy korona powinna być otwarta czy zamknięta. Niektórzy chcieliby powrotu do orła z 1919 roku – tego, który został przyjęty w trybie awaryjnym tuż po odzyskaniu niepodległości. Wówczas, po ponad stu latach zaborów, każda część kraju miała inną tradycję – i każdy chciał „swojego” orła. Ostatecznie zdecydowano się na wersję najbardziej zbliżoną do tej z zaboru rosyjskiego. Już wtedy mówiono, że to orzeł tymczasowy – że docelowo powstanie nowy, lepszy wzór. Warto dodać, że przyjęto wtedy tarczę wielopolową, która pierwotnie pochodzi z heraldyki francuskiej, ale trafiła do Polski przez Rosję, gdzie była powszechnie stosowana. Polska heraldyka była znacznie prostsza – nie używała tarcz wielopolowych, albo czyniła to bardzo rzadko. Najczęściej mieliśmy jedno godło heraldyczne, czasem tarczę dzielono, ale herby wielopolowe pojawiało się rzadko. W rezultacie dziś używamy tarczy, która nawiązuje do systemu heraldycznego rosyjskiego – naszego dawnego zaborcy. I jakoś nikt na to nie zwraca uwagi. Przy całym tym sporze o znaki wolności i niepodległości, to akurat tarcza, która tutaj najbardziej nawiązuje w sposób bardzo czytelny do zaborów – pozostała.

Od ponad dwóch wieków towarzyszy Polakom Mazurek Dąbrowskiego. Dlaczego akurat ta pieśń, napisana zresztą daleko od Polski, została hymnem?

Wersja mityczna mówi, że była najwspanialszą pieśnią i wszyscy ją kochali – dlatego została hymnem. Ale to nie do końca prawda. Żeby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego „Jeszcze Polska nie zginęła” została hymnem, trzeba zrobić małą powtórkę z historii. W maju 1926 roku Piłsudski dokonał zamachu stanu. Społeczeństwo było wtedy w Polsce jeszcze bardziej podzielone niż dziś. Te podziały były naprawdę głębokie. Gdy zapadła decyzja, by ustanowić hymn państwowy, rozpoczęła się dyskusja. Pojawiło się wiele propozycji, za którymi stały konkretne siły polityczne. Oczywiście Piłsudski chciał, żeby hymnem została „Pierwsza Brygada”, pieśń jego legionów. Ale wiedział, że jeśli tak się stanie, cała opozycja tego nie zaakceptuje, a połowa kraju nie uzna jej za hymn. Tymczasem hymn powinien łączyć, a nie dzielić. Z drugiej strony, endecja forsowała „Rotę” Konopnickiej. Piłsudski nie mógł jednak oddać symbolu narodowego przeciwni-

Czytaj str. 20



FOT. 123RF

Przemysław Rey: Kiedy ktoś wywiesza w domu flagę z godłem, to jakby mówił, że mieszka na statku, w ambasadzie albo w miejscu, gdzie władztwo Rzeczypospolitej jest niepełne

Czytaj ze str. 19

kom politycznym - nie mogło być tak, że hymn śpiewa tylko jedna strona. Kręgi kościelne chciały, by hymnem została pieśń „Boże, coś Polskę”, ale pamiętano, że utwór ten został pierwotnie napisany na rocznicę powstania Królestwa Polskiego i chwalał cara - miał więc słabą kartę do ubiegania się o status hymnu. Brano też pod uwagę „Warszawiankę” z czasów powstania listopadowego oraz „Chorał” Ujejskiego, który był bardzo ciężki emocjonalnie i powolny - napisał go po rabacji, więc zawierał cały dramatyzm napisanego. Fragment: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie, Panie, bije ten głos...” - no, trudno przy takim tekście o entuzjazm. „Jeszcze Polska nie zginęła”, bo tak najczęściej pieśń nazywano, miała wiele zalet. Przede wszystkim była popularna i rzeczywiście śpiewana, z całą swoją historią sięgającą czasów Legionów i Księstwa Warszawskiego. Śpiewano ją również w kolejnych powstaniach, w najtrudniejszych momentach. Podczas bitwy o Olszynkę Grochowską oddziały ruszały do walki na bagnety właśnie z tą pieśnią.

Jej przekaz był prosty, zrozumiały, niosący nadzieję, ale też wzywający do działania. Zakazana przez zaborców, stała się jeszcze bardziej wartościowa - bo to, co zakazane, od razu wydaje się lepsze. Najważniejsze jednak było to, że pieśń nawiązywała do wydarzeń sprzed ponad 100 lat, więc nie wiązała się z aktualną polityką. Nie można było przypisać jej żadnej ze stron; nikt nie mógł powiedzieć: „To nasza pieśń”. Dzięki temu była najmniej kontrowersyjna, najbardziej łącząca - a to najważniejsze cechy hymnu. Miała też dobrą melodię. I dlatego właśnie została ustanowiona hymnem.

Jakim człowiekiem był autor hymnu - Józef Wybicki?

Był postacią niesamowitą. Dziś zapewne zdiagnozowano by u niego ADHD. Od samego początku, gdy tylko zaczął działać politycznie, angażował się we wszystko, co możliwe - najpierw w naprawę Rzeczypospolitej, później w walkę o jej odzyskanie. To właśnie on, jako pierwszy i jedyny, odważył się zabrać głos w czasie Sejmu repninowskiego - nazywanego tak od nazwiska ambasadora rosyjskiego, który zwołał Sejm i porwał czterech przywódców

opozycji, by zastraszyć posłów i wymusić głosowania zgodne z wolą Moskwy. Dwudziestoletni wówczas Wybicki wygłosił protestację, otwarcie mówiąc o przemocy moskiewskiej. I choć miał zaledwie dwadzieścia lat, jego słowa były mocne i do dziś brzmią aktualnie. Nikt inny nie miał odwagi tego zrobić. Można powiedzieć, że był młody i narwany, nie przewidywał konsekwencji - ale dwa dni później zawieszono konfederację barską, która uznała protestację Wybickiego za swoje pierwsze działanie. Zresztą sam Wybicki do niej dołączył. Starał się pozyskiwać przychylność dworów zagranych. Działał w insurekcji kościuszkowskiej, uczestniczył w tworzeniu Legionów, później Księstwa Warszawskiego. Napisał jedną z pierwszych prac o wprowadzeniu papierowego pieniądza w Polsce. Był wizytatorem szkół wileńskich z ramienia Komisji Edukacji Narodowej. Co ciekawe, wysłano go tam, bo szkoły te podlegały potężnemu biskupowi wileńskiemu, a Komisja zazwyczaj wysyłała duchownych. Tym razem uznano, że potrzeba kogoś z zewnątrz - i Wybicki nie miał oporów, by dokonać kontroli i częściowej reformy. Uzna-

wany jest za jednego z ojców polskiej geografii - to on wprowadził do języka polskiego słowo „geologia”. Zajmował się reformami gospodarczymi i politycznymi, pisał wiersze, sztuki dramatyczne, opery, komedie. Czasem sam je reżyserował i w nich występował. To człowiek, który wszędzie zostawiał swój ślad. Jego przekleństwem jest jednak to, że najbardziej znany jest z jednej pieśni - i to nie dlatego, że się wzruszył, jak głosi popularny mit, tylko dlatego, że potrzebna była konkretna instrukcja.

To nie była pieśń wzruszenia?

Nie. To była bardzo jasna instrukcja dla legionistów, kogo mają słuchać. Wówczas w polskiej emigracji panował głębok podział. Dąbrowski pisał do Wybickiego, że więcej czasu traci na odpisywanie na donosy Polaków do Francuzów, niż na organizację wojska. Trzeba było więc wzmocnić jego pozycję, wskazać żołnierzom drogę, pokazać, na kim mają się wzorować, przypomnieć, że w domu czekają na nich żony i dziewczyny. Wszystko to można było zawrzeć w odezwie, ale część żołnierzy była niepiśmienna. Dlatego łatwiej było stworzyć pieśń. Wybicki zastosował zabieg, który do dziś stosują sieci handlowe - do znanej melodii dołożył tekst. To działa. Dziś też wystarczy usłyszeć melodię, by wiedzieć, do którego iść sklepu. Wybicki zrobił to już 200 lat temu. Człowiek niesamowicie ciekawy. I choć pieśń, którą napisał, zrobiła oszałamiającą karierę, to przykryła całą jego inną działalność. A przecież on nie napisał hymnu - napisał pieśń, która dopiero po wielu latach została hymnem.

Jak to jest z symbolami narodowymi - flagą, hymnem, godłem? Czy one dziś łączą Polaków, czy raczej dzielą?

I tak, i nie. Na pewno łączą - Polacy bardzo kochają swoje symbole. Ale jednocześnie wiedzą o nich bardzo mało. To dość częste u nas: potrafimy głośno krzyczeć, ale nie zadajemy sobie trudu, żeby zrozumieć, skąd coś się wzięło. Z drugiej strony, pojawiają się tendencje do dzielenia - na zasadzie: kto ma prawo używać danego symbolu, a kto nie. Są próby zawłaszczania, a to bardzo groźne. Bo fundament symbolu narodowego jest to, że symbolizuje cały naród - i każdy ma do niego takie samo prawo. Nie można tworzyć sytuacji, w której jedna osoba może korzystać z symbolu, a inna już nie. To często wynika z nieznamości zasad. Mnie osobiście ogromnie irytuje - i to w każdym środowisku - powszechne używanie flagi z godłem. Tak, to jest flaga ustawowa, ale bardzo jasno określono, dla kogo jest przeznaczona. Jest to flaga dla instytucji, których status prawny w ra-

Dziennik Bałtycki
Piątek-niedziela, 2-4.05.2025

mach prawa międzynarodowego jest niejednoznaczny - czyli dla miejsc, które formalnie są terytorium Rzeczypospolitej, ale de facto już nie do końca. Przykład? Polska ambasada w Berlinie - teoretycznie, zgodnie z prawem międzynarodowym, to teren Polski, ale w praktyce jest to terytorium Niemiec. Podobnie pokład samolotu czy statku - prawo międzynarodowe traktuje je jako terytorium Polski, ale w praktyce to umowne. Kapitanaty portów lotniczych, strefy wolnocłowe - to także przestrzenie, gdzie władztwo państwowe jest ograniczone. Więc gdy ktoś wywiesza w domu flagę z godłem, to jakby mówił, że mieszka na statku, w ambasadzie albo w miejscu, gdzie władztwo Rzeczypospolitej jest niepełne. To pokazuje całkowite niezrozumienie symboliki narodowej.

Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie to pierwsze takie miejsce na świecie...

... i przez długi czas było jedynym w całej galaktyce! Później powstało na krótko Muzeum Marsylianki, ale zostało zamknięte i od lat jest nieczynne. Tak że spokojnie możemy mówić, że jesteśmy jedynym muzeum hymnu w galaktyce.

Kto odwiedza muzeum? Czy zdarza się Panu widzieć wzruszenie u odwiedzających? Które ekspozyty budzą największe emocje?

Odwiedzają nas przede wszystkim grupy szkolne. Wyходимy z założenia, że jeśli ktoś młody usłyszy i zrozumie, skąd się biorą symbole narodowe, to zapamięta to na całe życie - na przykład, że biel i czerwień to nie krew i czystość, tylko barwy tarczy herbowej. Staramy się walczyć ze stereotypem, że muzeum hymnu to coś nudnego, gdzie trzeba będzie ziewać na baczność. Nie chcemy nadmiernego patosu - bo patriotyzm nie musi być XIX-wieczny, ciężki, jak u Kaczmarek: „Taką stoi Polska racją/ Na pohybel innym nacjom!”. Można być dumnym z osiągnięć i dążyć do kolejnych - dlatego nasza oferta jest skierowana przede wszystkim do młodzieży, ale nie tylko. Około 80 procent naszych odwiedzających to uczniowie, ale przyjeżdżają też seniorzy, osoby indywidualne, ludzie w każdym wieku. Jedyna grupa, której się nie spodziewaliśmy, to obcokrajowcy. Uznaliśmy, że nasze symbole są na tyle hermetyczne, że nie ma sensu wprowadzać opisów dwujęzycznych. Ale oczywiście, jeśli pojawia się grupa anglojęzyczna, jesteśmy w stanie oprowadzić i opowiedzieć - choć zakotwiczenie w polskiej historii jest tak głębokie, że osobie nieznającej naszej przeszłości trudno będzie zrozumieć zawitości zaborów czy powstań. A żeby po-

kazać, jak ważne jest nasze muzeum - naszym najważniejszym pracownikiem jest... pies Draka. Rolą Draki jest spuszczenie powietrza z nadmiernie napompowanych emocji. Bo jeśli dzieci poczują, że wszystko wokół jest zbyt poważne, to zaczyna być trudno, nudno. Kiedy nagle przychodzi pies, wita się z nimi - i to miejsce staje się przyjazne, przyjemne. A jeśli pyta Pani o wzruszenie - tak, zdarza się. Mamy ekspozyty, które robią wrażenie. Choćby orzeł wykonany z blachy z poszycia niemieckiego Sztukasa, jedynego zestrzelonego podczas Powstania Warszawskiego. To naprawdę porusza. Raczej jednak staramy się pokazywać, że historia nie zawsze jest prosta - i skłaniać do myślenia.

Dzień Flagi to dobry moment, żeby zapytać, czym dziś jest patriotyzm?

To nie jest łatwe pytanie, bo nie ma jednej odpowiedzi. Patriotyzm może przyjmować bardzo różne formy - od tych drobnych, codziennych, jak dbanie o własne otoczenie, po te najbardziej wymagające, jak służba w armii i gotowość do poświęcenia życia. To przede wszystkim postawa - w każdej dziedzinie życia. I niekoniecznie polegająca na tym, że mamy uważać się za najlepszych. Raczej chodzi o rozumienie własnej historii - także tej trudnej. Ważne jest, byśmy wiedzieli, jakie błędy popełniliśmy, do czego doprowadziły - i byśmy potrafili ich unikać w przyszłości. To właśnie powinna nam dawać historia - nie poczucie wyższości, nie wygrażanie innym, ale świadomość i przygotowanie. Bo jeśli przyjdzie moment, gdy trzeba będzie zareagować - trzeba to zrobić rozsądnie i skutecznie. Nie chodzi o samozadowolenie, ale o codzienne, racjonalne działanie. Tak to widzę. Choć pewnie opinii na temat współczesnego patriotyzmu jest tyle, ilu Polaków - i mam tego pełną świadomość.

CV



FOT. ARCHOWUM PRYWATNE

Przemysław Rey

Kurator Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie, które jest oddziałem Muzeum Narodowego w Gdańsku. Jest potomkiem XVI-wiecznego pisarza Mikołaja Reja.

Matejko malował „Konstytucję” od stycznia do października 1891 r. Wiosną prace nad nim były jednak tak zaawansowane, iż możliwe było pokazanie płótna na jubileuszowej wystawie w krakowskich Sukiennicach z okazji 100. rocznicy uchwalenia konstytucji.

Kto na obrazie?

Prostowanie nieścisłości trzeba zacząć od tego, że centralną postacią obrazu, niesioną na barkach dwóch posłów, nie jest wcale król Polski Stanisław August Poniatowski. Tą osobą, która macha dokumentem, jest w rzeczywistości marszałek Sejmu Wielkiego Stanisław Małachowski. Polityk podtrzymywany jest przez posłów reprezentujących symbolicznie dwie najważniejsze ówczesne ziemie Korony: Małopolskę i Wielkopolskę.

Pod jego prawym ramieniem znajduje się owinięty w bandaż Tadeusz Kościuszko ze sztandarem Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Matejko przypomina tym ujęciem późniejsze wydarzenie – powstanie kościuszkowskie i odniesienie ran przez dowódcę insurekcji, których doznał on podczas bitwy pod Maciejowicami w 1794 r.

Tuż nad nim znajduje się inny wielki bohater narodowy – postać na wysokim koniu w prawym rogu obrazu to nie kto inny, jak sam książę Józef Poniatowski. To również zapowiedź przyszłości i nadchodzących walk narodowo-wyzwoleńczych. Po lewej stronie i za Małachowskim widać zaś szpaler stojących na baczność wojaków, którzy ochraniają pochód.

„Sztynny” król

Zatem gdzie jest król Stanisław August Poniatowski? Widzimy go, jak wchodzi po schodach do kolegiaty św. Jana. Na ramionach ma założony płaszcz koronacyjny, w którym jednak wówczas nie występował, ale malarz uważał, że tak będzie wyglądał godniej. „Sztynne, pełne przesady” ruchy króla to zamierzony efekt wprowadzony przez Matejkę. Marian Gorzkowski, przyjaciel malarza zapisał, że artysta „uskarżał się, że malowanie obrazu z XVIII jest dla malarza bardzo niewdzięczne (...). Wiek XVIII, rzekł do mnie, jest bardzo mi przykry, panujące wówczas kolory strojów są wątle, bez siły i takie malować trzeba; twarze osób są sztywne, ruchy zapożyczone od Francuzów, przesadne, peruki na głowie są obrzydliwe, a wszystko razem krępuje myśl! Wolałbym raczej malować każdy wiek inny, niżeli XVIII, a jednak malować go trzeba!”.

Z wieńcem laurowym pod baldachimem Matejko namalował księżną kurlandzką Dorotę Biron, tuż za nią stoi Elżbieta Grabowska – metresa kró-



Łącznie na dziele znajduje się ponad 40 postaci historycznych. W tym święty katolicki (Klemens Maria Hofbauer), pop, chłop oraz król

SEKRETY OBRAZU JANA MATEJKI „KONSTYTUCJA 3 MAJA 1791 ROKU”

To płótno Mistrza nie należy do największych w jego dorobku. Liczy jedynie 2,5 na 4,5 metra. Ale ma kilka wartych uwagi tajemnic

Mariusz Grabowski

la, matka jego dzieci. Kłaniając się przy drzwiach kościoła, wita króla prezydent Warszawy Jan Dekert z córką Marianną (w żółtej sukni tyłem do widza). Sęk w tym, że Dekert już od roku nie żył.

Kołataj patrzy z pogardą

Intrygująca scena rozgrywa się jednak na środku ulicy. Leżący na bruku człowiek w czerwonym ubraniu to poseł Jan Suchochorski. Z kieszeni mężczyzny wypadają karty, będące tutaj dwuznacznym symbolem. Matejko zamieścił je zarówno, jako przenośnię zdrady, jak i przedmiot rzeczywisty – polityk, będący dość nędznym hazardzistą, po złączeniu się ze stronnictwem prorosyjskim zaczął w dziwny sposób wygrywać ogromne kwoty w karty.

Dziecko znajdujące się nad nim przedstawia jego własnego syna, którego zamordowaniem szantażował innych, jeżeli dokument zostanie przyjęty. Na malunku przerażony chłopiec wyrwa się ojcu, zaś ksiądz radykał Hugo Kołłątaj (szeroka postać w sutannie, stojąca na środku) patrzy nań z pogardą. Na wprost ks. Kołłątaja stoi targowiczaniec Franciszek Ksawery Branicki, najwyraźniej wściekły. Zerkając w kierunku Kościuszki, przeciwko któremu wkrótce będzie walczył po stronie Rosji i najwyraźniej zaczyna z tego sobie zdyktować sprawę.

Matejko szkicuje

Łącznie na dziele znajduje się ponad 40 postaci historycznych. W tym święty katolicki (Klemens Maria Hofbauer), pop, chłop i dwóch Żydów. Z zapisków

Gorzkiego, wynika, że Matejko już w grudniu 1890 r. przygotował mniejszych rozmiarów szkic olejny, na którym rozplanował całą kompozycję. Pierwsze rysunki z modeli rozpoczął w połowie stycznia 1891 roku; w lutym przenosił już zarys postaci na płótno.

„W początkach marca wykończył na obrazie całą martwą naturę, to jest wszystkie stroje i ozdoby strojów, a na ostatku malował twarze, jako najgłośniejszą część obrazu”. Z Warszawy nadesłano mu także fotografie kościoła i zamku, dzięki czemu mógł uzupełnić detale architektoniczne.

„Do obrazu tego – pisze Gorzkowski – pozowała moja córka Lina i ja także; wiele innych zaś osób artysta malował z dawnych portretów lub sztychów”. Matejko przez lata powiększał zbiór rysunków przedstawiających detale kostiumów i uzbrojenia, szkice elementów wystroju itd. Zbierał również rekwizyty przydatne do malowania scen historycznych. Dodatkowo Gorzkowski pożyczył dla artysty m.in. „żupan i kontusz przeszowiekowej roboty i dawnego kroju”, „z kościoła św. Anny starodawne piękne pa-

sowe portiere”, a nawet „ze skarbca Zamku prawdziwy płaszcz królewski”.

Scena i widownia

Matejko lubił wprowadzać do swoich kompozycji podział na tzw. „scenę” (gdzie rozgrywało się główne wydarzenie) i komentując je „widownię”. Tak jest także w „Konstytucji”.

Oto w tłumie po lewej stronie widoczny jest m.in. Jan Kiliński, mistrz szewski i przyszły uczestnik insurekcji kościuszkowskiej. Mieszczanin o sumiastym wąsie i ciemnej czuprynie wznosi rękę w charakterystycznym geście przysięgi, tak jak otaczające go postaci. Bez wątpienia jest więc w grupie popierającej uchwalenie konstytucji. Niżej, widoczny jedynie w popiersiu, ukazany został wspomniany już ks. Hofbauer, w chwili gdy Matejko malował obraz – świeżo beatyfikowany. Redemptorysta wyciąga dłoń, jakby prosząc o jałmużnę, wyrażając wątpliwość lub prezentując scenę, która rozgrywa się za jego plecami.

Rola sali sejmowej

Na stronie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego znaleźć można tekst Tomasz

Drapała „Konstytucja 3 Maja 1791 roku – sekrety obrazu Jana Matejki”, w których znajdują się uwagi na temat scenarii pokazanych nań wydarzeń.

Konstytucja została uchwalona w Zamku Królewskim w Warszawie, w sali sejmowej. Później została zaprzysiężona w kościele św. Jana. Dzieła wcześniejszych autorów, które ilustrowały uchwalenie konstytucji, ukazywały scenę właśnie w sali sejmowej. „Jednak Matejko uważał, że w takim ujęciu wydarzenia nie ma nic ciekawego. Wiele razy w historii Polski politycy podejmowali decyzje w sali sejmowej, tak jak wiele razy odbywały się przysięgi w kościele. Malarz chciał przedstawić coś, co będzie najbardziej charakterystyczne dla tego wydarzenia. Wybrał scenę, która rozgrywa się pomiędzy Zamkiem a kościołem” – pisze Drapała.

Czy taki przemarsz rzeczywiście miał miejsce? Tak. Na prośbę króla Stanisława Augusta, po uchwaleniu konstytucji w Zamku, politycy przeszli do kolegiaty św. Jana, by zaprzysiąc nową konstytucję przed Bogiem.

Podróż obrazu

Pamiętajmy przy tym, że „Konstytucja” nie przedstawia on jednej historycznej chwili. Jego zamierzeniem było ująć „całość wydarzenia historycznego”. W namalowanej scenie chciał opowiedzieć o zdarzeniach poprzedzających główne wydarzenie i pokazać jego następstwa. „To było wielkie wyzwanie, jakie stawiał sobie artysta. Matejko umieścił osoby, które uczestniczyły w tym wydarzeniu i te, które mają znaczenie symboliczne” – dodaje Drapała.

Przypomnijmy jeszcze okoliczności zaprezentowania dzieła. Obraz zaprezentowano publiczności 3 maja w krakowskich Sukiennicach. Obraz – dar malarza dla narodu polskiego – został przewieziony do gmachu Sejmu Galicyjskiego we Lwowie. Po odyskaniu niepodległości, w latach 20., wrócił do Krakowa, skąd został przewieziony do Warszawy, do budynku Sejmu. Tam pozostał do 1938 r., kiedy to w warszawskiej Zachęcie zorganizowano wystawę z okazji 100. rocznicy jego urodzin. W 1939 r. płótno zostało ukryte na strychu Zachęty, pod podłogą. Po wojnie obraz włączono do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Marzeniem Jana Matejki było, aby dzieło zawisło kiedyś w komnatach Zamku Królewskiego w Warszawie. To marzenie zostało spełnione w 1984 r.

Wtedy obraz został przekazany odbudowanemu Zamkowi Królewskiemu i zawieszony w sali poprzedzającej Salę Senatorską, w której uchwalono Konstytucję.

MARZENIEM JANA MATEJKI BYŁO, ABY DZIEŁO ZAWISŁO KIEDYŚ W KOMNATACH ZAMKU KRÓLEWSKIEGO. TO MARZENIE ZOSTAŁO SPEŁNIONE W 1984 R.

Opowodzeniu głosowań decyduje liczba, która jest wynikiem pewnego matematycznego działania. Ustala się ją na podstawie liczby obecnych na konklawe kardynałów elektorów, mnożąc ją przez dwa, a następnie dzieląc przez trzy. Chodzi nie o wszystkich kardynałów z prawem głosu, lecz tych obecnych na konklawe – nawet gdyby ktoś przybył spóźniony. Jeśli liczba obecnych elektorów nie jest podzielna przez trzy, do wyniku, pozbawionego reszty, trzeba dodać jeden.

W 2013 roku tą liczbą było 78, w 2005 roku podobnie, w 1978 roku podczas obu konklawe – 74.

Jeśli w czasie jednego głosowania jakieś nazwisko pojawi się na tylu kartach, jeśli w fazie odczytywania nazwisk to zostanie powtórzone przez skrutatora co najmniej tyle razy, ile wynosi owa niezbędną liczbą, to kardynał ten zostaje wybrany papieżem. Z matematycznego punktu widzenia całe konklawe sprowadza się właściwie do tego.

„Mnie najbardziej w konklawe przekonała rola Ducha Świętego, że On działa w nas, kardynałach – powiedział mi kardynał Kazimierz Nycz, uczestnik konklawe w 2013 roku. – Oprócz matematyki liczącej poparcie, oprócz dynamiki wzrastających głosów jest jakaś tajemnica, że nawet nie wiesz, jakimi motywami kierują się kardynałowie, kiedy przenoszą w pewnym momencie swoje głosy na tego jednego, który zostaje papieżem”.

Można się tylko domyślać, jak każdy z kardynałów, który zlicza na swoim arkuszu głosy, już podczas odczytywania nazwisk widzi, które na zwisko pojawia się częściej, które rzadziej. Widzi dynamikę, wzrastające szanse jednego, gdy liczba głosów zbliża się do oczekiwanego dwóch trzecich, i spadające poparcie dla innych. A przede wszystkim uświadamia to sobie przyszły papież. W jednym skrutinium mogło zabraknąć 20 głosów, w kolejnym pięciu. W następnym już nie zabrakło.

Kiedy liczba głosów oddanych na jedno nazwisko przekracza wymagane dwie trzecie, w stronę jego posiadacza padają serdeczne spojrzenia pozostałych kardynałów, zapewne sąsiedzi kierują już gratulacje. Skrutatorzy wracają do swych wyznaczonych miejsc, ale przy stole liczenia głosów zastępują ich rewizorzy. To powtórzenie zliczania głosów przez rewizorów musi się odbyć, choć w rzeczywistości pewnie jest najbardziej nużącą kilkunastominutową procedurą. Przecież kardynałowie już wiedzą, który spośród nich za chwilę będzie papieżem. Ale dopiero jeśli ostatni przeliczony przez rewizorów głos potwierdzi wynik li-

W ostatnich 50 latach wybory papieży trwają nie dłużej niż dwa-trzy dni.
Od ponad 150 lat wybór papieża nie trwa dłużej niż sześć dni
pisze ks. Przemysław Śliwiński



Konklawe, które wybierze następcę papieża Franciszka zacznie się 7 maja. Pierwszego dnia odbędzie się tylko jedno głosowanie

JAK DŁUGO MOŻE TRWAĆ KONKLAWE?

czenia skrutatorów, głosowanie kanoniczne kończy się wyborem papieża.

Ostatni kardynał diakon otwiera drzwi Kaplicy Sykstyńskiej i przywołuje sekretarza Kolegium Kardynałów, mistrza papieskich celebrazji liturgicznych oraz dwóch ceremoniarzy.

Następuje obrzęd pokazany w dziesiątkach filmów o wyborze papieży. Kardynał dziekan bądź przewodniczący konklawe podchodzi w towarzystwie konklawistów do wybranego i pyta:

Acceptasne electionem de te canonice factam in Summum Pontificem? (Czy przyjmujesz swój kanoniczny wybór na Papieża?).

Jeśli wybrany potwierdzi, w tym momencie Kościół ma już papieża. Elekt uzyskuje pełnię władzy w Kościele. Kończy się konklawe, chyba że papież zdecyduje inaczej. Już teraz ma prawo, jest papieżem. (...)

Biały dym

Po wyborze papieża wszystkie karty do głosowania i wszelkie notatki wkładane są do pierwszego z dwóch pieców i palone – regulamin nie precyzuje, kto się tym zajmuje, ale wiadomo, że w latach 2005 i 2013 robili to ceremoniarze, wśród nich wówczas jeszcze ksiądz prałat Konrad Krajewski. Drugi piec, ten do produkcji dymu-sygnału, zostaje uruchomiony w trybie „wybór dokonany”. Zapłon w nim mieszanina chlorku potasu, laktozy i kalafonii, generując biały dym. Z pieca wąskim przewodem do komina nad Kaplicą Sykstyńską popłynie ku niebu nad Watykanem biały dym – fumata bianca.

Nie tylko wierni na placu św. Piotra, ale cały świat się dowie, że papież został wybrany. Jednocześnie zaczynają bić dzwony bazyliki watykańskiej, a oficjalne potwierdzenie tej infor-

macji emituje Radio Watykańskie. Ten dodatkowy – oprócz koloru dymu – sposób poinformowania o pomyślnym wyborze wprowadzono z tego powodu, że jak już zostało wspomniane, pomimo udoskonalania składu chemicznego obu dymów zawsze trwa spekulacja nad jego kolorem. Dla wydawców telewizyjnych i dziennikarzy płynie taka oto rada: podczas głosowań warto mieć włączone „Radio Watykańskie”. Chociaż najwytrawniejsi watykańscy podają jeszcze jeden, lepszy sposób. „Zauważ – powiedział mi kiedyś jeden z nich – że najlepiej obeznani dziennikarze, którzy chcą jak najszybciej wiedzieć o wyborze, wcale nie obserwują komina Kaplicy Sykstyńskiej. Są raczej tam, skąd widać koszarę Gwardii Szwajcarskiej”.

Zanim dowiemy się, kto został papieżem, minie jeszcze co najmniej pół godziny. W Kaplicy Sykstyńskiej, w miejscu wyboru

nowego papieża, trwają przygotowania do ostatniej ceremonii przed zamknięciem konklawe.

Nowy papież przechodzi do zakrystii Kaplicy Sykstyńskiej zwanej Pokojem Łez. Tam czekają na niego sutanny w trzech różnych rozmiarach. Musi wybrać najbardziej odpowiednią. Pracownia krawiecka Gamma-relli od dziesięcioleci przygotowuje jeszcze przed rozpoczęciem konklawe trzy identyczne zestawy białych papieskich sutann, w trzech różnych rozmiarach. Sam właściciel pracowni czeka już w Pokoju Łez, by na tej, która najlepiej pasuje do postury wybranego papieża, dokonać ostatnich krawieckich poprawek. (...)

Papież wraca do Kaplicy Sykstyńskiej już w białej sutannie, czyli w ubiorze, który będzie się z nim kojarzył do końca jego dni. Tak też zapamięta go historia utrwalona na fotografiach, obrazach i filmach. Wraz z przyjęciem wyboru nie jest już kardynałem. Zasiada na miejscu nazwanym „katedrą”, przed ołtarzem kaplicy. (...)

Habemus papam

Od pół godziny wszystkie kamery i obiektywy aparatów fotograficznych, a od 2013 roku również setki tysięcy smartfonów, wycelowane są w loggię zewnętrzną Bazyliki Watykańskiej. Tryb pełnej gotowości uruchomił przecież biały dym. Za chwilę wszystko będzie wiadomo. Za chwilę poznamy papieża.

Na plac z różnych zakątków Rzymu biegą prawdziwe tłumy. Są to rzymianie, turyści, siostry zakonne i księża, przecież są ich wtedy tysiące w Rzymie. To prawdziwy pośpiech i entuzjazm. Tym, którzy przebywają niedaleko Watykanu, pojawienie się białego dymu daje czas, by przybyć na plac św. Piotra i zdążyć na ogłoszenie nowego papieża. Każdy chce go zobaczyć. Każdy chce być w tej chwili na placu św. Piotra. Niezapomniane emocje.

Komentatorzy z różnych miejsc, tarasów, prowizorycznych studiów go rączkowo opowiadają, co się wydarzyło, co się wydarzy i przede wszystkim zastanawiają się, kto jest wybrany na papieża. Czas na ostatnie spekulacje. Iluż to dziennikarzy pożałowało wypowiedzianych wtedy nazwisk!

Ale najpierw wychodzi na loggię pierwszy kardynał diakon (protodiakon), który na chwilę opuszcza Kaplicę Sykstyńską, i po łacinie wymawia formułę, która jest znana chyba każdemu:

Annuntio vobis gaudium magnum: habemus papam! (Ogłaszam wam radość wielką: mamy papieża!).

Ten moment zawsze wywołuje owacje. To niesamowite słyszeć trzysty tysięcy tłum zebranych na placu św. Piotra i w okolicznych ulicach, który cieszy się, że papież już jest. Teraz trzeba

wychwycić tylko dwa słowa. Jedynie dwa, którymi wyróżnia się ta starożytna formuła. Jedynie dwa, które informują, kto został wybrany. Najpierw padnie imię: Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum, Dominum... (Najczcigodniejszego i Najprzewielebniejszego Pana, Pana...).

– tu wybrzmiewa imię w bierniku (accusativus). W 2005 roku, gdy wypowiedziane zostało imię Ioseph, było prawie pewne, że chodzi o kardynała Ratzingera. W 2013 roku imię Georgius wielu polskich komentatorów skierowało w błędną uliczkę... Który kardynał miał na imię Grzegorz? Nie bez przyczyny najlepsze elenchusy (spisy) zawierające biogramy wszystkich kardynałów i przygotowywane na ten właśnie moment są ułożone w kolejności alfabetycznej nie nazwisk, lecz imion, i to w łacińskiej wersji w bierniku.

W 1978 roku tylko nieliczni powiązali imię Karol z nazwiskiem Wojtyła, głównie byli to Polacy. Bo nazwisko padnie na samym końcu formuły.

Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinale... (Kardynała Świętego Kościoła Rzymskiego, kardynała...).

W tym miejscu zostaje podane w formie nieodmiennej nazwisko kardynała wybranego na papieża.

W końcu ostatnia zagadka: Jakie imię przybrał nowo wybrany papież?

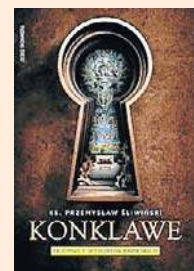
Qui sibi nomen imposuit... (Który przybrał sobie imię...).

– tu zostaje podane w bierniku imię wybrane przez nowego papieża.

Kardynał diakon schodzi z loggii. Znowu następuje kilkunastominutowe oczekiwanie. Niebawem nowy papież po raz pierwszy pokaże się Urbi et orbi, Miastu i światu.

(...) Papież, którego prowadzi ceremoniarz z krzyżem w towarzystwie trzech kardynałów: pierwszego biskupa, pierwszego prezbitera i pierwszego diakona, pojawia się w loggii Bazyliki św. Piotra i udziela pierwszego błogosławieństwa Urbi et orbi (Miastu i światu). Jan Paweł II jako pierwszy przełamał tradycję milczenia i spontanicznie wypowiedział kilka słów. Podobnie robili już jego następcy.

KSIAŻKA



Ks. Przemysław Śliwiński, „Konklawe. Tajemnice wyborów papieskich”, Wyd.: Stacja7

Od kilku lat jako Tata Astronom dzielisz się z innymi – za pośrednictwem internetu – swoją astronomiczną pasją. Temu, co dzieje się nad naszymi głowami, zacząłeś przyglądać się jednak chyba dużo, dużo wcześniej?

Niebem interesuję się od dzieciństwa. Kiedyś często spędzałem wakacje u dziadków. Pamiętam jak pewnego razu spałem na sianie, obudziłem się w środku nocy i zobaczyłem nad sobą mnóstwo gwiazd. Bardzo zafascynował mnie ten widok i to był moment, gdy zaciękała mi astronomia. Chęć głębszego poznawania nieba przyszła zaś w momencie, kiedy byłem u drugiej babci i – robiąc porządku na strychu starego, opuszczonego domu – znalazłem papierową mapę nieba. Potem, w nocy, wyszedłem z małą latareczką na podwórko i próbowałem rozszyfrować, gdzie na niebie jest to, co widzę na mapie. To był 1998 rok. I od tych 27 lat ta fascynacja cały czas trwa.

Co najbardziej pociąga cię w nocnym niebie?

Na początku ciekawiło mnie właściwie wszystko, ale z czasem zainteresowania się ukierunkowały. Skupiłem się na kometach, rojach meteorów, obłokach srebrzystych, a aktualnie – na zorzach. Jednak astronomią cały czas zajmuję się jedynie hobbistycznie.

Nie marzyły ci się studia astronomiczne?

Bardzo chciałem iść na studia astronomiczne! Ale, niestety, Kraków jest kawał drogi stąd, a moi rodzice nie byli w stanie pomóc mi finansowo. Zostałem więc technikiem elektrykiem. Ale, nie powiem, marzę, by kiedyś zająć się tym tematem zawodowo – może zbudować swoje własne obserwatorium, albo pracować w jakimś planetarium...

Obserwujesz niebo w każdą pogodną noc?

W każdą to może nie (śmiech). Czasem trzeba trochę od tego odpocząć. A poza tym to trzeba wiedzieć, co się chce obserwować i patrzeć przy tym na fazę Księżyca – trzeba pilnować tego kalendara, a do tego sprawdzać, czy na niebie nie dzieje się coś ciekawego – czy to astronomicznie, czy astronautycznie. Obserwuję na przykład deorbitację satelitów, przeloty stacji kosmicznych albo Falcona, który w Białymstoku, na naszych szerokościach, lata trochę niżej.

Od jakiegoś czasu skupiasz się także na wspomnianych już zorzach, które tropi wiele osób. Kiedyś nie mogliśmy ich oglądać w Polsce w takim nasileniu. Dlaczego ostatnio

TATA ASTRONOM POLUJE NA ZORZE

Fascynują go roje meteorów, obłoki srebrzyste, a od kilku lat fotografuje zorze.
– Prawdopodobnie jeszcze tylko w przyszłym roku będziemy mogli obserwować u nas niezwykle zorze, a potem na kilka lat znikną
– zapowiada Adam Hurcewicz

Magda Ciasnowska



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Adam Hurcewicz: Filary bardzo ładnie widać gołym okiem – to takie szybko zmieniające się, falujące smugi światła na niebie

tak często występują w naszym kraju?

Zorze pojawiają się obecnie na niższych szerokościach geograficznych dlatego, że Słońce jest teraz w maksimum swojego cyklu aktywności. Cały cykl trwa około 11 lat, a jego szczyt mniej więcej 2-3 lata. Prawdopodobnie jeszcze w przyszłym roku będziemy mogli obserwować u nas niezwykle zorze, a potem na kilka lat znikną. Myślę, że wrócą dopiero około 2032 roku. Mamy więc jeszcze chwilę na obserwację.

Co się właściwie dzieje w atmosferze podczas tego maksimum aktywności Słońca?

Na Słońcu jest teraz dużo plam. Niektóre wyrzucają materię, tzw. CME (koralne wyrzuty masy). Ale nigdy nie mamy pewności, czy ta materia trafi w Ziemię. A jeśli trafi, to czy to będzie w dzień, czy w nocy naszego czasu. Systemy, które to prognozują, często się mylą. Wiele razy już się na nich zawiedliśmy. Więc jest to loteria.

Skąd więc wiemy, czy danej nocy będziemy mogli obserwować zorzę?

Wyrzut materii obserwują sondy, np. SOHO. Od momentu gdy go zarejestrują, materia leci w stronę Ziemi około dwóch-trzech dni. Czekaemy, aż dotrze do sond bliżej i one „obrywają” jako pierwsze. Monitorujemy magnetometrię na prędkość wiatru słonecznego na tych sondach, wskaźniki pola magnetycznego i gęstość materii. I od uderzenia w sondy do dotarcia do Ziemi mamy około godzinę. Więc gdy widzę na aplikacji, że sonda jest pod wpływem wiatru słonecznego, mam godzinę, by się spakować, jechać za miasto i czekać na zorzę.

Gdy zorza już dotrze do Ziemi, przybiera niezwykle barwy. Dlaczego czasami jest bardziej czerwona, a czasami zielona?

To zależy od tego, na jakiej wysokości powstaje. A to, na jakiej wysokości powstaje, zależy od tego, jakie atomy są pobudzone – czy tlen, czy

azot... Każdy atom ma swoje kolory. I dlatego najniżej jest najbardziej intensywny kolor – zielony. Wyżej mamy bardziej różowe lub czerwone barwy.

A w jaki sposób powstają tak spektakularne filary zorzy?

Słaba zorza ich nie ma. Podczas niej widzimy ewentualnie jakąś lekką zieleń na horyzoncie i czerwoną łunę. I nie bardzo to widać gołym okiem – jedynie na zdjęciach. Filary pojawiają się, gdy mamy większą porcję materii. I kiedy następuje tzw. przebiegunowanie, czyli gdy zmienia się orientacja magnetyczna wiatru słonecznego. Filary bardzo ładnie widać gołym okiem – to takie szybko zmieniające się, falujące smugi światła na niebie.

Wiele osób, które chcą obserwować zorzę, czeka na komunikaty od znawców tematu, takich jak ty. A jak poradzić sobie samemu? Jak czytać te zorzowe parametry, żeby wiedzieć, że akurat danej nocy warto wybrać się za miasto?

Jest wiele przydatnych aplikacji, chociażby popularna SpaceWeatherLive. Pokazuje ona mnóstwo różnych rzeczy, m.in. aktywność słoneczną, czyli to, co dzieje się na Słońcu. Możemy w niej sprawdzić, czy występują jakieś wyrzuty materii. Dane pochodzą z sondy GOES-19. Jeśli chodzi o aktywność zorzową, to powinno interesować nas kilka parametrów. To m.in. indeks Kp – wskaźnik, który uwzględnia prędkość wiatru słonecznego i gęstość oraz parametr BZ – taki współczynnik zasięgu zorzy. Jeśli wynosi 5 lub więcej, jest szansa na obserwowanie zorzy w Polsce. Żeby było dobrze widać zorzę, prędkość wiatru słonecznego powinna być powyżej 500 km/s, a gęstość powinna mieć od 20 do 40 protonów.

Kiedy już wiemy, że zorza ma się pojawić na niebie, gdzie się udać, by było ją najlepiej widać?

Im bliżej północnych krańców Polski, tym warunki są lepsze. Zorza występuje nad północnym horyzontem. Jeżeli mieszkamy w mieście, najlepiej pojechać gdzieś, by te światła miasta zostawić za sobą, na południu. Niedaleko, około 10 km od domu, mam takie miejsce. Co prawda z lewej strony mam łunę od miasta, ale już nieraz łapałem tam zorzę. Chociaż oczywiście najlepiej pojechać gdzieś dużo dalej. Bo im dalej od miasta, tym lepiej.

Kiedy najczęściej możemy zobaczyć ten kolorowy spektakl? Zimą czy latem?

Zorza może się zdarzyć o każdej porze roku, ale latem jest gorzej ją obserwować – przede wszystkim dlatego, że noce są krótkie i niebo jest jasne. Zimą zaś zorza występuje rzadziej. Najlepszy okres do obserwacji to wiosna i jesień. Wtedy Słońce wschodzi i zachodzi dokładnie nad wschodnim i zachodnim horyzontem. W czasie równonocy – wiosennej i jesiennej – Ziemia jest ustawiona względem Słońca w taki sposób, że ani nie jest mocno od niego odchylona, ani nachylona w jego stronę. W tym czasie nawet małe zmiany w polu magnetycznym mogą wywołać zorzę.

A pamiętasz moment, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłeś zorzę?

Astronomią interesuję się już od dawna – obecne maksimum słoneczne jest więc już moim trzecim, które obserwuję. A swoją pierwszą w życiu zorzę zobaczyłem w 2003 roku. Była bardzo silna – chyba jedna z najmocniejszych w ostatnich 50 latach. Nawet z Białegostoku, mimo światła, widać było pionowe słupy. Niedawno nagrywałem

o tym filmik – o 50 najsilniejszych burzach geomagnetycznych. Burza sprzed roku, z 11 maja, znalazła się na siódmym miejscu w historii (od lat 50.). Była to bardzo silna zorza! Sierpniowa z ubiegłego roku też była naprawdę ładna. I przypadła akurat na maksimum perseidów. Wskoczyła, gdy kończyliśmy ich obserwację. Miała wyraźne filary świetlne. Byłem wtedy ze znajomymi i oni mówią: „Zobaczcie! Ktoś chyba daje tu długimi światłami”. W niebo strzelały naprawdę wysokie pionowe smugi. Wyglądało to niesamowicie. Niestety, w tym roku mało mamy tych zorz. Niektórzy mówią, że aktywność słoneczna już zaczyna maleć i że maksimum powoli się kończy... Mam nadzieję, że to jeszcze nie koniec! Bardzo bym chciał jeszcze w tym roku zobaczyć porządną zorzę, więc czekam... Czekam, aż Słońce znowu coś pokaże. Teraz trochę śpi, ale wierzę, że jeszcze się obudzi.

Jak zacząć swoją przygodę z obserwacją nieba? Od zakupu profesjonalnego sprzętu?

Sprzęt na początek wcale nie jest potrzebny. Należy mieć tylko trochę szczęścia i dostęp do ciemnego nieba. Potrzebny jest więc środek transportu, żeby ruszyć za miasto, i odrobina odwagi. Zdecydowanie polecam wyjazd pod ciemne niebo – to zupełnie inny świat. Zobaczenie Drogi Mlecznej na własne oczy to naprawdę wielkie przeżycie. Nie wiadomo, jak długo jeszcze takie ciemne niebo będziemy mieć. Wciąż budują się nowe miasta, stawiane są nowe latarnie i wszędzie jest coraz więcej światła. Dlatego póki jeszcze mamy takie ciemne miejsca – dużo jest ich na Podlasiu i w Bieszczadach – warto to wykorzystać. Szczególnie warto pojechać za miasto w lipcu i sierpniu – wtedy najlepiej widać, jak piękny jest kosmos. Można wtedy zobaczyć dużo więcej gwiazd i więcej meteorów niż w innych miesiącach.

Dlaczego warto czasami się zatrzymać i spojrzeć w niebo?

Myślę, że obserwacje nocnego nieba dla każdego dają coś innego. Dla mnie to przede wszystkim wyciszenie. Gdy mam trudny czas, lubię choć na chwilę wyrwać się i poobcować z naturą. To czas na spokojne przemyślenia: co w życiu jest ważne, jakie mam plany, jak podejść do różnych problemów. Czasami lubię jechać sam – właśnie po to, żeby się wyciszyć i pobyć sam ze sobą. A czasami lubię pobyć z kimś bliskim. W obserwacjach towarzyszą mi wtedy moi synowie.

Mieszkańcy takich miast jak choćby Wrocław, Gdańsk, Łódź, Kraków czy Poznań z futrzakami nieco się oswoili. Organizowane w większych aglomeracjach konwenty furry czy tak zwane furwalki (przemarsze) przyciągają uwagę. Postaci w zwierzęcych przebraniach, wesołe, przytulające - budzą zazwyczaj pozytywne emocje przechodniów i innych niewtajemniczonych.

Subkultura furry (z ang. futrzak, furzastość) i społeczność furry (fandom furry) budzi też i negatywne emocje. Ponieważ jest nie tylko barwna i otwarta, ale również tolerancyjna, np. dla LGBT, a to już nie podoba się środowiskom konserwatywnym.

Furasy - to pejoratywne określenie futrzaków, będące dziś w obiegu choćby wśród polskich nastolatków. Bywa, że idzie za nim także hejt wobec futrzastych. Ale ten pojawia się przecież także z innych powodów i zawsze - szczególnie młodych ludzi w okresie dorastania - rani do głębi.

Jeśli jesteś rodzicem, którego nastoletnia pociecha właśnie wkroczyła w świat furry - nie drżij i nie rwij włosów z głowy. Prawdopodobieństwo, że akurat w tym świecie i środowisku spotka nastolatka coś złego, jest niewielkie. A samo poszukiwanie tożsamości, grupy odniesienia i wyrażanie swojej osobowości poprzez fursonę (antropomorficzną postać zwierzęcą - swoiste alter ego właściciela) możesz potraktować jako przygodę młodości.

Ale, faktycznie - dla części nastolatków futrzastość pełni także funkcję terapeutyczną, wspierając osoby borykające się z problemami dotyczącymi akceptacji własnych preferencji seksualnych czy płciowych. Bycie w fandomie furry pomaga poszukującym czy niepewnym znaleźć zrozumienie w grupie akceptującej różnorodność.

Społeczność futrzaków

Korzenie subkultury furries czy furry sięgają lat 70. miniego stulecia i undergroundowego ruchu komiksowego przedstawiającego treści dla dorosłych. Potem były lata 80., fanziny gatunku science fiction i rodząca się popularność terminu „fandom furry” (społeczność futrzaków). Wśród największych pasjonatów furry do dziś trwają dyskusje na temat korzeni subkultury - można więc trafić i na inne koncepcje.

Co było dalej? Pierwszy konwent futrzaków w Kalifornii w 1989 roku, popularność ruchu w internecie od lat 90. oraz pojawiające się w Europie Zachodniej zloty, konwenty, spotkania. Do dziś na naszym kontynencie mekką futrzaków pozostaje Magdeburg ze swoim

PO CO MŁODYM SPOŁECZNOŚĆ FUTRZAKÓW?

Twoje dziecko kupuje właśnie ogon i kopyta? A może już wprost ogłosiło, że „jest furry” i pakuje plecak na konwent? Nie drżij, rodzicu! Subkulturę furry i społeczność futrzaków można polubić

Małgorzata Oberlan



Ubiegłoroczny „Furwalk” we Wrocławiu

największym, dorocznym zlotem.

W Polsce pierwsze klasyczne konwenty furry - Futrzakony - organizowane były w latach 2008-2011 i przyciągały wtedy zaledwie po kilkadziesiąt osób. Już jednak od 2005 roku w Kostrzynie nad Odrą odbywały się spotkania furry. Były coraz liczniejsze, barwniejsze, ciekawsze. Dziś tzw. meety, walki i konwenty zna już wiele polskich miast.

Jakie są futrzaki? Otwarte, barwne, kreatywne, tolerancyjne, niezaprzeczalnie - oryginalne. Czasem poszukują tożsamości w świecie furry, bo łatwiej im wyrażać siebie pod postacią zwierzęcia. Czasem są tutaj dlatego, że np. od dziecka

kochają anime, mangi albo też RPG (role play games).

Futrzaki mają swoje fursony, czyli postaci będące swoistym alter ego ich posiadaczy. To zazwyczaj antropomorficzne postaci zwierząt - np. wilki czy lisy. Mają cechy ludzkie, takie jak dwunożność czy zdolność mowy i twórczości, ale poza tym wyglądają zwierzęco. Takich postaci futrzaki używają zarówno podczas gier, jak i po prostu w komunikacji z innymi - w realu czy internecie.

Fursony i fursuity

- Moją pierwszą fursoną była hiena cętkowana o imieniu Rire. Jest ona całkowicie mną, ale w wersji futerkowej. Ma mój charakter, wzrost, ulubione kolorki na futrze (głównie beże

i brązy) itd. Jedynym nadprogramowym dodatkiem jest kolor oczu. Zawsze chciałam mieć niebieskie, a jednocześnie uwielbiam moje naturalnie brązowe, więc furma ma dwukolorowe oczy. A dla ciekawskich: dlaczego wybrałam akurat hienę? Bo hieny są małe, głośno i mają rozpoznawalny śmiech - czyli tak jak ja - objasniała z humorem Cover With Fur, polska artystka tworząca kostiumy dla futrzaków (dla: Witerart.pl, „Subkultura furry - wywiad z polską fursuit makerką”, Amelia Saltera, 12.02.2021 rok).

Aby należeć do fandomu furry, nie trzeba mieć przebrania - to podkreślają wszystkim nowym starsi stażem członkowie społeczności, choćby

w grupach internetowych. Mimo wszystko jednak wielu futrzaków z pasją buduje swoje fursuity. Wielu nastolatków przebranie się za zwierzę ułatwia nawiązywanie relacji i zdobycie akceptacji wśród rówieśników.

Po co ludzie kupują fursuity, czasem wielkim wysiłkiem finansowym? - To pytanie, na które nie ma jednej odpowiedzi. Każdy ma własny powód. Dla jednych może nim być chęć odgrywania swojej postaci w stu procentach, dla innych jest to rodzaj walki z lękiem społecznym - w codziennym życiu są osobami ekstremalnie nieśmiałymi, a zakładając strój, potrafią zawierać nowe znajomości bez problemu. Dla jeszcze innych jest to chwilowe oderwanie się od trudnego życia codziennego albo po prostu chęć posiadania takiego stroju - tłumaczyła wspomniana już Cover With Fur.

Gotowe i całkowiłe fursuity, czyli tzw. heady (głowy), futra na całe ciało z piankami pod spodem dla komfortu i kopyta (obuwie, często faktycznie z podkuciami, futerkiem) potrafią kosztować grube tysiące złotych. Wykonują je na zamówienie tzw. makerzy. Początkujący mają stawki niższe, ale uznani już w środowisku cenią się i materiały.

„Podaj budżet” - uprzedzają makerzy w grupach internetowych. I prosba ta dotyczy nie całkowitych przebrań, ale i ich elementów. Bo np. sam futrzasty ogon kosztować może od stu do kilkuset złotych, identycznie jak kopyta czy maski, głowy. Nie są to rzeczy tanie, ale młodzi są kreatywni i potrafią radzić sobie też mniejszym kosztem - np. budując wizerunek w oparciu tylko o „head” z prawdziwego zdarzenia, kombinując już resztę stroju domowym sumptem.

Fandom furry w internecie

Najliczniejsze grupy typu „furry Polska” w internecie łączą tysiące futrzaków i ich sympatyków. Odwiedziłam trzy takie grupy, spędziłam w nich trochę czasu i... byłam pozytywnie zaskoczona. Z czym się tu spotkałam? Co zauważyłam?

Zero agresji, hejtu. Dużo kreatywności, wrażliwości, a także niezwyklejsze poszukiwania przez nastolatków osób podobnych do siebie, bliższych geograficznie lub możliwych do spotkania np. w wakacje na którymś z walków czy konwentów. Autentycznie godne podziwu są też artystyczne prace prezentowane czy sprzedawane w grupach. To nie tylko elementy kostiumów, ale także tak zwane arty dla postaci (np. fantazyjne zawieszki), animacje, grafiki i wiele innych.

Aby zostać członkiem większej tych grup, trzeba najpierw zapoznać się z regulami-

nem, a potem go przestrzegać. Kto zasady łamie, wylatuje z grupy na czas jakiś lub na zawsze. Są administratorzy grup i moderatorzy dyskusji. Nigdzie nie spotkałam się z jakimikolwiek treściami, które wzbudziłyby we mnie jako rodzicu obawę co do bezpieczeństwa dziecka (żadnych dziwnych propozycji, zakamuflowanych treści erotycznych etc.).

Przed cwaniakami w środowisku rówieśniczym nastolatki w grupach ostrzegają się same. Jak? Ot, na przykład regularnie ogłaszając „niepolecajki”. To opisy niecnych praktyk uprawianych przez nefajnych ludzi, nieplacących za zamówioną rzecz lub też - odwrotnie - niegodnych polecenia wykonawców kostiumów. „Pazury byle jak przyklejone na klej; ogon się siepie” - brzmiały tego typu ostrzeżenia, od razu dokumentowane zdjęciami.

Meety, walki i konwenty

Meety to spotkania futrzaków, walki - to marsze, przemarsze w fursuitach, a konwenty - to już prawdziwe zloty, często z bogatym programem atrakcji. No, i płatnym uczestnictwem.

Od wczesnej wiosny do jesieni w Polsce nie brakuje okazji do spotkań futrzaków. Portal Furteca.pl zapowiada tegoroczne walki np. w Łodzi (11 maja), Lublinie (26 lipca) czy słynny Furwalk we Wrocławiu (jak zawsze w sierpniu). Wyznaczonych konkretnie terminów nie mają natomiast jeszcze planowane walki w Warszawie, Szczecinie czy Kielcach.

Tegoroczne konwenty? Tu portal podpowiada: Furpile w Łodzi (maj), Pyrkon w Poznaniu (czerwiec), Futerkon w Mąchoicach Kapitulnych (sierpień) czy Futrąjki w Kielcach (bez terminu jeszcze).

W Kujawsko-Pomorskiem natomiast futrzaki niedawno miały okazję spotkać się na Bykonie w Bydgoszczy. To Konwent Multifandomowy, więc przyciągnął członków i sympatyków nie tylko furry. Obowiązywał na nim całkowity zakaz posiadania i konsumpcji alkoholu i innych środków odurzających, a także palenia papierosów (także e-papierosów).

„Szauj innych uczestników - zsanuj pytaj o zgodę, zanim zrobisz zdjęcie, dotkniesz czyjś cosplay lub kogoś przytulisz” - głosiła jedna z podstawowych zasad na Bykonie. Każdy uczestnik konwentu miał swój identyfikator, działały dwa punkty medyczne oraz konwentowy telefon zaufania. Priorytetem była dobra, ale zarazem bezpieczna zabawa. I to się w kwietniu naprawdę udało! To podkreślić warto dla uspokojenia z troskanych rodziców, których pociechy właśnie planują wakacyjny wypad na podobną imprezę. ©©

DR MACIEJ SZASZKIEWICZ: NIE MA GENU ZŁA. ZABÓJSTWO RODZI SIĘ Z BRAKU MIŁOŚCI

– Więzienia pełne są ludzi o zaburzonych osobowościach, ale w codziennym życiu rzadko spotykamy prawdziwych potworów. Największe zło nie rodzi się nagle. To efekt lat zaniedbania i bezradności wobec świata – mówi dr Maciej Szaszkiewicz, psycholog i profiler

Anita Czupełny

Zabójca po bardzo brutalnym morderstwie przygotował nie-żyjącą ofierze śniadanie: kanapki z dżemem, z serem, herbata w filiżance, wszystko ułożone na szafce przy łóżku – opowiada Pan w książce „W głowie zabójcy”, która właśnie ma swoją premierę. Jaką wiadomość zostawił? Co profiler mógł z tego odczytać?

To było w czasach, kiedy patrzyłem na takie rzeczy jak przeciętny człowiek, który widząc to, mógłby pomyśleć: „Stuknięty? Wariat?”. Ale już wtedy wiedziałem też, że osoby chore psychicznie, które potocznie nazywamy wariatami, bardzo rzadko popełniają zabójstwa. Prawie nigdy. Więc to nie był wariat. Choć to rzeczywiście było coś dziwnego – a kiedy coś jest tak strasznie dziwne, jest bardzo pokrewne cechom choroby psychicznej. Po pewnym czasie, po analizie wielu innych przestępstw, nauczyłem się, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem nazywanym emocjonalnym zadośćuczynieniem.

Na czym ono polega?

Ktoś, kto zdecydował się na zabójstwo, być może chciał zrobić to w sposób spektakularny – żeby było o tym głośno, żeby we własnych oczach urósł do kogoś niezwykłego i zasłużonego, bo życie do tej pory nie traktowało go poważnie. Dokoła więc zabójstwa w sposób przesadnie podkreślający zamysł zabicia, może też ograbienia. I zrobił to w sposób skrajnie brutalny; kilkoma ciosami młota, albo przedmiotu przypominającego ciężki młot, rozbił kobiecie czaszkę. Dookoła rozbryzgi krwi i mózgu, fragmenty czaszki, coś strasznego. Już samo przebywanie w miejscu, gdzie znajdują się zwłoki, jest dla człowieka obciążające – a co dopiero ciało tak brutalnie okaleczone, tak drastycznie potraktowane zwłoki. A jednak ten zabójca, po wszystkim zrobił kanapki, które ułożył na talerzyku. Zaparzył herbatę.

Emocjonalne zadośćuczynienie w takich przypadkach polega na tym, że w umyśle zabójcy pojawia się myśl: „Nie jestem chyba dobrym człowiekiem, skoro zrobiłem coś tak strasznego”, mimo że wcześniej do tego świadomie zmierzał. Wtedy w jego głowie rozpoczyna się wewnętrzna polemika. Takie wewnętrzne rozmowy prowadzi każdy z nas. U niego ta rozmowa dotyczyła tego, co właśnie zrobił. I doszedł do wniosku: muszę zrobić coś dobrego dla ofiary. W jego dziwnym mniemaniu takim dobrym gestem było zrobienie śniadania, które niczym dżentelmen, przyniesie jej do łóżka. W jego wewnętrznym świecie na jednej szali było ogromne zło – zabójstwo – a na drugiej szali coś dobrego: śniadanie. I w ten sposób w jego oczach bilans się wyrównywał: „Może nie jestem specjalnie dobrym człowiekiem, ale nie jestem też taki zły”.

Takie rozkodowanie pomaga odkryć, kim jest zabójca?

Tak, kiedy zaczęliśmy rozumieć, że mamy do czynienia z mechanizmem obronnym przed własnym złem, wszystko stało się jaśniejsze. Zabójca, próbując się rozgrzeszyć, kładzie na jednej szali coś dobrego. W jego mniemaniu równoważy to zło. Ale najciekawsze jest to, że on zupełnie nie dostrzega szalonej dysproporcji między jednym a drugim. Nie dość, że brutalnie zabił, to jeszcze w sposób skrajnie bestialski zbezczeszczył ciało ofiary – a na drugiej szali kładzie kanapki i herbatę. I nie widzi, że to nieporównywalne. Brak dostrzegania tej dysproporcji jest jednym z zaburzeń osobowości, często spotykanych u sprawców przestępstw. Po dokonaniu zła szukają sposobu na równoważenie, ale nie widzą, jak ogromna jest przepaść między czynami. Jeśli zobaczymy takie myślenie u sprawcy, wiemy o nim wię-

cej – i łatwiej nam zrozumieć, kto to mógł zrobić.

Mówi się, że każdy z nas może być zabójcą, że wszystko zależy od warunków, od sytuacji. Ale może jednak są tacy ludzie, którzy nigdy by tego nie zrobili?

Bardzo dobrze, że Pani o to zapytała. Tak, jestem absolutnie pewien: ogromna większość ludzi nigdy nie zabije. Nasze życie i doświadczenie to pokazują – żyjemy wśród ludzi, którzy nie zabijają. Bardzo rzadko zdarzają się tacy, którzy to robią. Ale formalnie, teoretycznie, każdy mógłby. Przypomnę, że około trzy czwarte zabójstw dokonywanych jest pod wpływem emocji. A każdy z nas podlega emocjom. I czasem te emocje mogą doprowadzić do czegoś, co potocznie bywa nazywane „białą gorączką”. W tym pojęciu mieści się sytuacja, w której człowiek jest w takim stanie emocjonalnym, że nie panuje nad sobą. I choć nie każdy w takim stanie zabije, to niektórzy – tak. W tym sensie każdy może być zabójcą. Tak jak każdy może – teoretycznie – zjeść trawę. Poznajemy człowieka, który na łące je trawę – każdy mógłby, ale prawie nikt tego nie robi. Każdy więc mógłby zabić. Ale naprawdę – nie każdy zabije.

Kiedy po raz pierwszy pomyślał Pan o swojej pracy w taki sposób, że spotyka się Pan ze złem, które po prostu nie mieści się w głowie?

Nie chcę sięgać do swojego życiorysu, ale wychowywałem się w domu dziecka. Przebywałem tam od drugiej klasy szkoły podstawowej do matury. Nie byłem wychowankiem, który był całkowitą sierotą – byłem półsierotą, bo miałem mamę i utrzymywałem z nią kontakt. Miałem więc trochę lepiej niż inni wychowankowie. W domu dziecka spotykałem się z rozmaitymi ludźmi – dziećmi biednymi, nieszczęsnymi, często z zaburzeniami. Widziałem, że

są to dzieci i młodzież pozbawione w dużym stopniu matczynego ciepła i uczuć. Pomyślałem sobie, że skoro ich dobrze znam, to może mogę im pomóc. Zgłosiłem się do pracy do zakładu poprawczego, gdzie były podobne dzieci, tyle że potraktowane bardziej rygorystycznie przez prawo – młodzi przestępcy. Nie przyjęto mnie tam do pracy. Myślę, że może dlatego, że byłem wtedy bardzo nieśmiały. Za to chętnie przyjęto mnie do pracy do więzienia. Pracowałem tam osiem lat i również starałem się pomagać.

I tam spotkał się Pan z takim złem?

W więzieniu spotkałem się raczej ze skutkami zła – nie bezpośrednio ze zbrodnią, tylko z jej konsekwencją. Ktoś dostał pięć lat za coś, inny dwadzieścia za zabójstwo. Z samą zbrodnią nie miałem wtedy styczności. Dopiero po odejściu z więzienia zatrudniłem się w Instytucie Ekspertyz Sądowych. I tam rzeczywiście zacząłem postrzegać, że można zabójstwa analizować i w jakiś sposób przyczynić się do pomocy. Kończąc psychologię, pisałem pracę magisterską o skutkach karania młodocianych przestępców zakładem poprawczym. Okazało się, że efekty są marne. Bardzo naciskano na to, żeby kara była przyczyną refleksji, żeby młodzieży przysięgali, że poprawili – ale z moich obserwacji wynikało, że resocjalizacja rzadko następowała.

Istnieją przestępcy, którzy zostali bardziej skrzywdzeni przez system niż przez własne czyny?

Nie ma na to dobrej, jednoznacznej odpowiedzi. Natiemiasł w psychice tych ludzi bardzo silnie obecne jest poczucie krzywdy. Niemal każdy przebywający w więzieniu uważa się za osobę skrzywdzoną. Kiedy zapyta się więźnia: „Za co pan siedzi?”, bardzo często słyszy

się odpowiedź: „Za niewinność”. Na początku myślałem, że to zwykła głupota. Ale kiedy niemal wszyscy odpowiadali w ten sam sposób, zrozumiałem, że to jest uprzejma forma powiedzenia: „To nie twoja sprawa. Odczep się”. Jednak zacząłem się zastanawiać: może oni naprawdę w to wierzą? Nie spotkałem nikogo, kto by powiedział: „Okradłem kilka osób, więc nic dziwnego, że mam karę”. Przeprowadziłem nawet drobne badania pilotażowe – później ich już nie kontynuowałem, ponieważ zrozumiałem, w czym tkwi problem. Mówiąc, że siedzą za niewinność, oni rzeczywiście uważają, że system ich skrzywdził. Opierają to przekonanie na dwóch podstawach: Po pierwsze: „Nie ma sprawiedliwości w wyznaczaniu kar. Ja dostałem cztery lata, a kolega za podobne przestępstwo tylko dwa – to jest niesprawiedliwość”. Po drugie: „Przecież miałem dowody mojej niewinności, kolega był gotów przysiąc przed sądem, że w czasie kradzieży byłem u niego, a sąd nawet go nie wysłuchał. Skazali mnie niesłusznie”. Kiedy mówiłem takiemu człowiekowi: „Przecież pan ukradł, to musi być kara”, usłyszałem: „Nie rozmawiamy o tym, czy ukradłem, tylko o tym, czy sąd miał prawo dać mi taki wyrok”. I tu znowu wiadać to zaburzone postrzeganie proporcji, którego oni często w ogóle nie dostrzegają.

Co w człowieku najłatwiej ulega wypaczeniu: emocje, sumienie czy wyobraźnia?

Niełatwo tu wskazać jednoznacznie odpowiedź. W każdym razie dążę do tego, żeby powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak urodzony zabójca. Czasem mamy do czynienia z dziećmi, które są tak do kuczliwe, nieprzyjemne, nadpobudliwe, że wszystko niszczą, psują, gryzą – diabli wiedzą co jeszcze – że trudno się obronić przed myślą: „Cholera, urodzony zabójca”. Ale zabójstwo

to pozycja z Kodeksu karnego – czyli z naszej umowy społecznej – a nie z genów. Gen nie może wiedzieć, że w naszej umowie społecznej za pewne czyny przewidziana jest kara. To nie wynika z genów.

Nie ma genu zła?

Nie ma. Można mieć niekiedy wrodzone zwiększone predyspozycje do zachowań agresywnych; jeśli ktoś ma rozchwiany układ nerwowy, jest bardziej nerwowy, to łatwiej stanie się agresywny niż ktoś, kto ma spokojny, zrównoważony system nerwowy. Ale to nie znaczy, że stanie się przestępcą. Bo to będzie zależało od zestawu czynników, które na nas wpływają. Pierwszy to geny – przychodzimy na świat wyposażeni w pewne zdolności, na przykład: jak się odżywiać. Noworodek, gdyby nie miał wrodzonego odruchu ssania, nie dałoby się go nakarmić. Wie też, kiedy płakać – choćby wtedy, gdy ma mokrą pieluszkę – żeby przywołać matkę. To są rzeczy wrodzone. Ale z tym zestawem wrodzonych cech trafiamy po urodzeniu się do środowiska – najczęściej do rodziny. I od tego, jak rodzina potraktuje dziecko, zależy, jak ono się rozwinię. Jeśli będzie to rodzina, która traktuje dziecko z miłością, „Jaki ty śliczny, kochany”, bierze na ręce, przytula, zaspokaja potrzeby – to choćby w genach było coś „złego”, może to zostać zminimalizowane lub zneutralizowane. Jeśli natomiast dziecko trafi do rodziny, w której ojciec pije, matka jest leniwa, niekochająca, a potrzeby dziecka są ignorowane – wtedy rośnie bezbronny wobec zła. A zło świata napotyka się wszędzie: w rodzinie, przedszkole, szkole, na podwórku. I kiedy dziecko nie ma tej ochronnej tarczy – to te doświadczenia w niego wchodzą. Tak samo, jak można sobie wyobrazić odwrotną sytuację: ktoś rodzi się aniołem, ale środowisko go psuje. Jeśli czynniki wro-

Czytaj str. 26



FOT. 123RF

Dr Maciej Szaszkiewicz: Tworzenie profilu to logiczne rozumowanie, z wykorzystaniem wiedzy o zachowaniach człowieka: które emocje się uruchamiają, a które nie

Czytaj ze str. 25

dzone i środowiskowe nie są zrównoważone, zaczyna się dziać źle. Jeśli są zrównoważone - może dziać się dobrze. Ktoś rozumuje: „Chciałbym mieć rower, ale jestem biedny.” Jeden pomyśli: „Pożyczę pieniądze, poproszę o pomoc”. A drugi, bez tej ochrony, powie: „Ja też chcę mieć rower” - i po prostu go ukradnie. U jednych okowy moralności się wzmacniają, u innych łamią. Człowiek, który ma w miarę nienaruszoną inteligencję, znajdzie sposób, żeby zdobyć uznanie wśród ludzi - bez przestępczych działań. Bo przestępcze formy działania są proste i łatwe do wykonania, ale łączą się z poważnym ryzykiem poniesienia konsekwencji.

Chciałam zapytać o taki przypadek zbrodni z Pana kariery, który pokazuje, że nasze poczucie bezpieczeństwa może być iluzją.

Wszyscy ludzie, którzy mają do czynienia z przestępczością, wiedzą, że w wielu przypadkach nasz próg odporności jest obniżony. Zwłaszcza kieszonkowcy - tak zwani złodzieje kieszonkowi - są świetnymi psychologami praktycznymi. Błędnym rozpoznają, czy kogoś łatwo okraść. Podchodzą tylko do takich osób. Są to osoby zamyslane, zasmucone, zasytane. Klasyczna sytuacja: do tramwaju wchodzi złodziej, a wchodzi tak, że nikt go nie zauważa. Jego kolega wsiada innymi drzwiami. Złodziej rozgląda się, ocenia. Jeśli widzi osobę zapatrzoną przez okno, zaczytaną, zamyslaną - wie, że

to jego ofiara. Kilka zręcznych ruchów - zasłonięta ręka pod płaszczem - i portfel znika z torebki, trafiając od razu do trzeciej osoby. Jak oni to wiedzą? Z praktyki, z doświadczenia. Ludzie, którzy mają emocje zajęte czymś innym, nie zwracają uwagi na ostrożność. Najpierw powinniśmy złapać za torebkę - a dopiero potem odpowiadać na pytanie nieznanego.

Warto o tym przypominać!

Opisałem w książce przypadek, kiedy jako psycholog penitencjarny rozmawiałem w więzieniu z przestępcą. Taki psycholog nie decyduje o niczym, co by mogło obciążyć więźnia, więc czasami udaje się nawiązać szczere rozmowy. Ten człowiek siedział za napady w tzw. ciemnych uliczkach. Opowiadał mi: „Nie ma świadków. Idzie kobieta. Wystarczy jedno spojrzenie - i już wiem. Jeśli jest załęknioma, onieśmielona, bez kontaktu wzrokowego - to jest moja ofiara. Bo wiem, że jak podejde, to nic nie robi, nie wyda z siebie głosu”. Opowiadał, że wystarczy chwila, by to ocenić. I rzeczywiście tak jest. Pamiętam też sytuację z życia: kiedyś napadnięto moją córkę na osiedlu. Powiedziała mi: „Pamiętałam, co mi mówiłeś: przede wszystkim krzyczyć”. Zaczęła więc przeraźliwie krzyczeć - i napastnik odpuścił. W trudnych sytuacjach nie wolno ulec. Trzeba robić zamieszanie, wyrwać się, krzyczeć. Dobrze mieć w kieszeni garść soli i w razie czego rzucić ją w oczy napastnikowi - to czasem może pogorszyć sytuację, ale

najczęściej działa zniechęcająco. Albo udawać, że zaraz z windy wyjdzie ktoś znajomy: „Józek, chodź tu szybko!” - napastnik może się wystraszyć i uciec. Bo to są ludzie „cichej roboty”; oni nie lubią zamieszania. Jeśli napastnik widzi osobę wyprostowaną, patrzącą na tle seksualnym, wyróżnia się tych zorganizowanych i tych dezorganizowanych.

Czym się różnią zorganizowani od tych dezorganizowanych?

Zorganizowany to taki, który stara się wszystko przewidzieć. Ma przygotowane szczegóły zdarzenia: czym zatkać kobietę usta, wybiera miejsce, w którym nie będzie okien ani możliwości wezwania pomocy. A dezorganizowany nie myśli o niczym innym, tylko o tym, żeby odbyć stosunek, więc najpierw jak najszybciej zabija i dopiero potem dopuszcza się zgwałcenia, wobec osoby już martwej. To właśnie nieżywe ciało go ekscytuje - bo wtedy nie trzeba się martwić, że ofiara coś powie, nie trzeba odpowiadać na żadne pytania. Tacy ludzie często szukają też miejsc do życia i pracy, w których nie muszą za bardzo przebywać z innymi.

Jak Pan traktuje profilowanie? To bardziej sztuka czy jednak nauka?

To nie jest ścisła nauka. Ale to też nie jest sztuka, bo sztuka jest tworzeniem czegoś.

A tworzenie profilu?

Można powiedzieć, że jeśli ktoś pisze akt oskarżenia, to też coś tworzy. Ale tworzenie profilu to raczej logiczne rozumowanie, z wykorzystaniem wiedzy o zachowaniach człowieka: które emocje się uruchamiają i dlaczego, a które nie. Ogólnie rzecz biorąc, psychopatów mamy niemało wokół siebie. A bardzo dużo ludzi - zwłaszcza kobiet - ulega tzw. powierzchownemu urokowi psychopaty. Psychopata ma nieuszkodzony intelekt, ale uszkodzone emocje. Nie będzie współczuł, nie będzie się litował, nie będzie miał tych wszystkich uczuć, które budują bliskość. Bliskość? Dla niego to frajerstwo. Tak myślą psychopaci. Do niektórych zadań są świetni, bo nie mają wyrzutów sumienia. W ostatnich latach potwierdzono to też neurologicznie. Zrobiono eksperyment na małpach - kiedy jedna cierpiała, w mózgu drugiej, patrzącej na to, aktywowały się te same pola. To zjawisko nazywano neuronami lustrzanymi. My, zwykli ludzie, też je mamy. Psychopaci - nie. Oni nie cierpią, patrząc na cudze cierpienie. Ale nie tylko osoby pozbawione neuronów lustrzanych mogą mieć psychopatyczne zaburzenia osobowości. Ktoś bity w dzieciństwie, przeżywający wojenne traumy - też może mieć osłabione te mechanizmy, jako formę ochrony. Po to, by przeżyć. By mózg mógł działać wyłącznie na rzecz uratowania siebie.

Strasznie ciężki to temat. Jak się Panu żyje z głową pełną cudzych zbrodni?

Na początku było źle. Żona zwracała mi uwagę, że w nocy zrywam się z krzykiem. To nie były sny bezpośrednio o tych sprawach, nad którymi pracowałem, ale emocje były podobne - uciekałem, ktoś mnie gonił, czułem, że jeśli nie ucieknę, zginę. Z czasem nauczyłem się tego, co my, psychologowie, stosujemy w takich sytuacjach: pewne mechanizmy ochronne. Uczymy się odcinać od tego, czym się zajmujemy. Jednym z takich mechanizmów jest uświadomienie sobie, że pracuję wśród ludzi o zaburzonych osobowościach - i że takich ludzi w społeczeństwie jest znikomy procent. Więc poza pracą właściwie ich nie spotykamy. W codziennym życiu niemal nigdy nie spotykamy sadystów, zabójców, dręczycieli. Oni są skupieni w jednym miejscu - w więzieniach. Kiedy wyjdę z tego miejsca - wracam do świata, gdzie takich ludzi nie ma. Żeby dobrze pełnić swoją funkcję, staram się nawet w więzieniu znaleźć dobre aspekty. Kolejnym mechanizmem, który pomaga, jest su-

Dziennik Bałtycki
Piątek-niedziela, 2-4.05.2025

perwizja - dzielenie się tym z innymi - najlepiej bardziej doświadczonymi. W psychoterapii to podstawa: rozmowa, wspólne omówienie problemu, spojrzenie na niego z innej strony. Dzięki temu przestaje to być ciężarem wyłącznie we mnie.

Co Pana najbardziej zaskoczyło w ponad 30-letniej pracy z przestępcami?

Wierzę, że na dnie duszy każdego, nawet największego łotra i potwora, jest cienki pokład dobra. Oni robią to, co robią, bo tęsknią za czymś, czego nie mają - za czułością, bliskością, miłością. Widzą, że inni mają uczucia, seks, miłość - a oni nie. I myślą: to niesprawiedliwe. W ich ciemnych zakamarkach duszy rodzi się przekonanie, że trzeba to jakoś wyrównać. Więc napadają na kobiety, zabijają je - bo wydaje im się, że tylko tak mogą to coś zdobyć. W większości przypadków zabójstw na tle seksualnym - myślę, że w 90 procentach - chodzi nie tylko o seks. Chodzi też o emocjonalną desperację. Najpierw jest gwałt, a potem pojawia się dylemat: co dalej? Jeśli ją puszczę, rozpozna mnie, doniesie. Skoro nie było innych świadków, ona jest jedynym, więc musi zginąć. To nie już seks popycha do zabójstwa, tylko strach przed konsekwencjami. Oczywiście, zdarzają się osoby, u których ośrodek agresji i przyjemności w mózgu się miesza. To ludzie z komponentą sadystyczną w osobowości. Czerpią radość z bólu, przerażenia, płaczu drugiej osoby. Dla nich przemoc staje się źródłem seksualnego spełnienia.

Która z opisanych spraw w książce była dla Pana najtrudniejsza do zrozumienia? Czy jest taka, która pozostaje niewyjaśniona nawet dla Pana?

Jedna z takich spraw to sprawa „skóry” - bardzo głośna w swoim czasie. Druga - człowiek, który odciął ojcu głowę, zdarł z niej skórę i nałożył ją na siebie. To są rzeczy, które nawet trudno opisywać. My wszyscy mamy w sobie naturalny lęk, obrzydzenie, moralną barierę - samo bycie w pobliżu zwłok jest trudne, a co dopiero ich dotykanie. A są tacy, którzy współżyli z rozkładającymi się ciałami. Pamiętam sprawę Kolanowskiego - zabójcy skazanego na śmierć. Wyjmował kołbiece zwłoki z grobów i współżył z nimi na łące. Te ciała były w różnym stopniu rozkładu. Ciarki przechodzą na samą myśl. Jak można to robić, biorąc pod uwagę wrażliwość na kontakt z martwym ciałem? Kolanowski był ślepy na te bodźce. Nie widział w tych ciałach ludzi. Widział w nich tylko obiekt seksualny.

A taka, która najmocniej w Panu tkwi?

Mam taką sprawę, która do tej pory nie daje mi spokoju. Nie chcę jednak za bardzo o niej mówić, bo jest bardzo drażliwa. Czasami ciemne zakamarki ludzkiej duszy są tak przerażające, że człowiek się zastanawia, czy w ogóle warto o nich mówić. Ogarnia wtedy przerażenie. Wszystkie nasze kodeksy, przepisy, poczucie sprawiedliwości - mijają się mają do tego, co taki przestępca uczynił. Nie da się w żaden sposób logicznie wytłumaczyć, dlaczego ktoś w tak straszliwy sposób znechęcał się nad drugą osobą. Brakuje psychologicznych teorii, które by to w pełni wyjaśniały. Brakuje sposobu, by rozświetlić mechanizm, który doprowadza człowieka do czegoś takiego. Czy w takich chwilach czuje się twórcą, Panem Bogiem? Kto daje sobie prawo, by zadawać innym takie cierpienie? Bo wśród zabójców zdarza się przecież radość z panowania nad drugim człowiekiem - czasem większa niż z seksu. U niektórych sprawców to poczucie władzy nad ofiarą jest silniejsze niż cokolwiek innego. To fascynacja: rozkazać, upokorzyć, podporządkować. Kazać komuś całować buty - i czerpać z tego radość. Najprawdopodobniej wynika to z wcześniejszych doświadczeń: ci ludzie nigdy nie zaznali dobra, ciepła, szacunku. A teraz - wreszcie - mogą być kimś, kim kiedyś wobec nich byli oprawcy. Przejmują ich rolę.

Były w Pana pracy momenty, kiedy czuł się Pan zmęczony tą całą wiedzą? Można odpocząć od tego, jak myśli zabójca?

Odpowiedź brzmi: można. Tak sobie zorganizowałem życie, że mam szczęśliwą rodzinę - żonę, trójkę dzieci, siedmioro wnuków, psa i kota. Mam więc w życiu dobrze. A ta wiedza, którą zdobyłem, nie jest dla mnie emocjonalnym obciążeniem. Jest raczej intelektualnym rozwojem. Wiem, że moja rolą jest rozświetlanie najciemniejszych zakamarków ludzkiej duszy. Prostowanie meandrów, którymi ci ludzie zblądzi. I trochę jestem z tego dumny.

KSIĄŻKA



Maria Mazurek, Maciej Szaszkiewicz, „W głowie zabójcy. Pierwszy polski profiler kryminalny na tropie najgłośniejszych zbrodni”, Wyd. Wielka Litera, Warszawa 2025

CHIŃSZCZYŻNA TO JUŻ NIE OBCIACH

Choć leci do nas przez pół świata, jest tańsze niż to samo w Polsce i często u nas tego nie kupimy. Sklep plus ekscytacja to fenomen Temu, Shein czy AliExpress. Chińskie produkty silnie uzależniają

Agnieszka Domka-Rybka

Świecący „fakas” na złość kierowcom wyprzedzającym innych samochodzary, którzy tego nie lubią, bo szkodzi ich ego. „Mini golf do toalety”, „celownik dosikania” czy sztuczny, zgrabny tyłek do włożenia pod spodnie i wiele innych przedmiotów, których nie dostaniemy gdzie indziej. Polacy namieć kupują na chińskim Temu, więcej niż na naszym Allegro. Socjolog z Bydgoszczy: - To nie tylko sklep, ale i forma współczesnej rozrywki, czasem wręcz konsumpcyjnego. Niskie ceny i ciągła rotacja produktów prowadzą do uzależniającego „polowania na okazje”.

„Właśnie odebrałem paczkę z Chin. Są w niej sznurowadła długie i dwukolorowe. Szukałem nowych w znanych sklepach z butami w Polsce, ale nie mają. No to kupiłem w Chinach. Rób, Europo, tak dalek. Nie wytwarzaj sznurowadeł, niech sobie latają samolotami tysiące kilometrów, ale potem nie narzekaj, że cię sadzają przy dziecięcym stoliku” - taki wpis znalazłam na profilu w mediach społecznościowych mojego znajomego Rafała Zimnego, zawodowo doktora habilitowanego z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy.

Szczotka do toalety Donald Trump?

Rafał tłumaczy: - Chcę kupować sznurowadła w Polsce i płacić polskim firmom za ich wytworzenie. Sznurowadła to nie kosmiczna technologia, a jednak ich nie ma. Kultura jednorazowości - kupi wyrzuci, gdy się popsuje część zamienna. Buty mam dobre, tylko sznurowadła się prze-rwały, a pasujące akurat do tego modelu znalazłem tylko w Chinach. U nas nie ma, naprawdę nie ma. Co zrobić? Chiny przysłały mi to, czego potrzebowałem.

Pod jego postem pojawiły się różne komentarze, m.in. taki pana Sławka: „Nieliczny młynek do kawy bez grama plastiku, kupiłem produkcji chińskiej. Całe szczęście, po mocnym wyeks-ploatowaniu podzespoły udało się kupić w Polsce, aczkolwiek łoży-

ska produkcji japońskiej. Alternatywa były znowu Chiny. Gdybym kupił młodej produkcji europejskiej, już wylądowałby w żółtym worku. Chiński daje się naprawić”.

I właściwie na tych opiniach mogłabym skończyć artykuł na temat tego, dlaczego Polacy kupują więcej na chińskim Temu niż na Allegro, choć to nasz potentat w handlu internetowym. W marcu po raz pierwszy liderem kategorii e-commerce zostało w Polsce właśnie Temu. Liczba użytkowników wyniosła 18,11 mln, z kolei Allegro w tym samym czasie miało 17,84 mln realnych odwiedzających. Za sukcesem Temu stoją zapewne przemysłowa i agresywna polityka cenowa, a także szeroki wybór produktów, których nie można kupić gdzie indziej.

- A to prawda, ostatni mój zakup to łóżko polowe za niecałe dwieście złotych, idealne do namiotu na poligon - mówi pan Krzysztof, żołnierz zawodowy z Torunia, fan zakupów na Temu. - Przysłała o taka mała paczuszka - pokazuje, że zmieści się do ręki i do wojskowego plecaka. - Bardzo łatwo się rozkłada i składa. Normalnie takie łóżko kupione gdzieś u nas zajęłoby pół samochodu, nie mówiąc już o cenie.

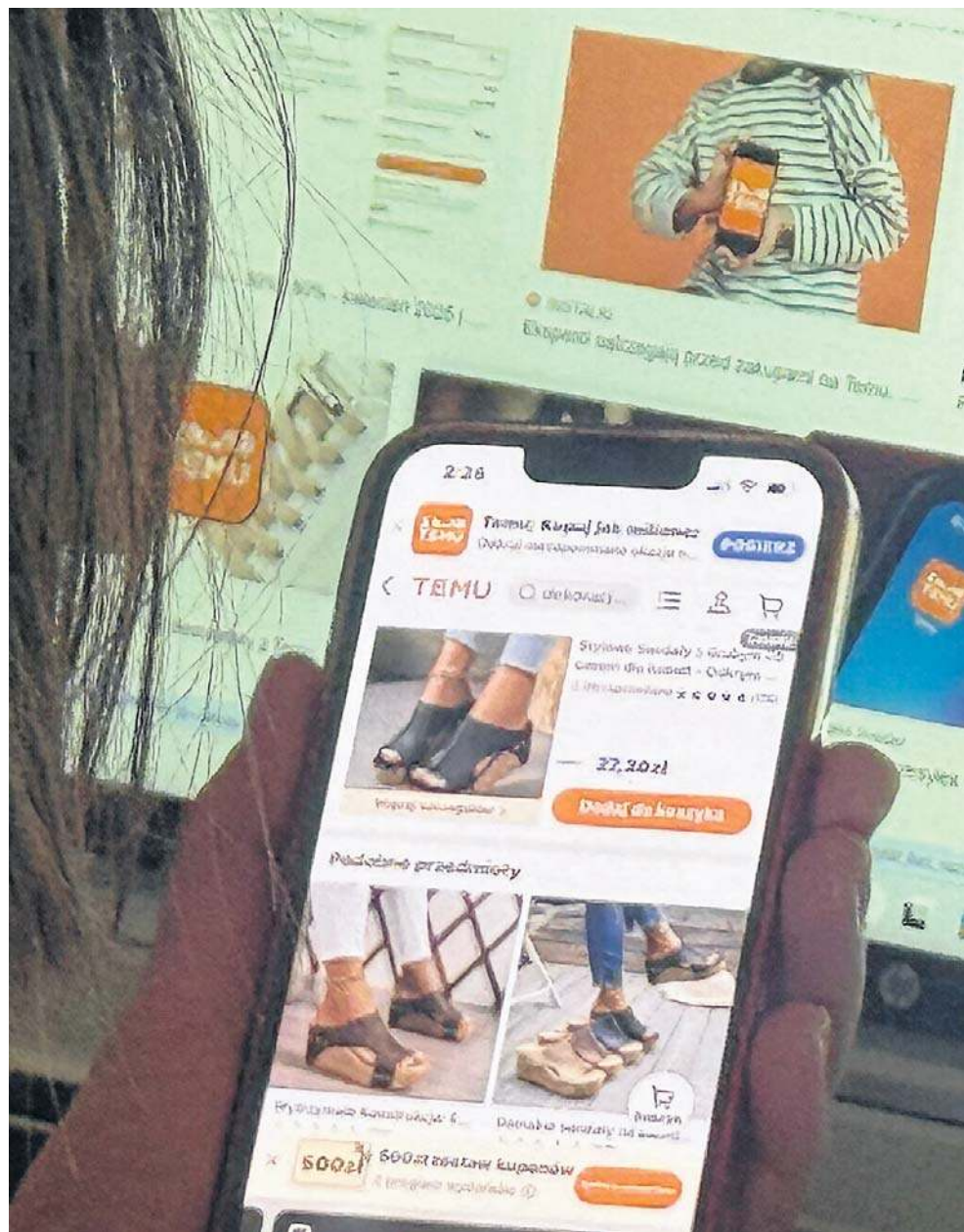
Oczywiście, są jeszcze Shein czy AliExpress, tam również lubimy kupować.

Dlaczego w Chinach? - Bo jest taniej, a te same chińskie produkty sprzedawane w znanych sieciówkach w Polsce kosztują kilka razy więcej - przekonuje 25-letni Arkadiusz z Bydgoszczy, który kupując w azjatyckim serwisie zimą skompletował sobie sprzęt do morsowania, a teraz zopatrzył się w artykuły na sezon rowerowy. - Mnie najbardziej dziwi, że identyczne chińskie

produkty, z tymi samymi metkami, są w známym sklepie sportowym tak drogie, a ja kupuję dużo taniej i jedzie to do mnie pół świata. Widać, opłaca się, a u nas droższyna, że ludzie, nawet gdyby woleli zostawić pieniądze w kraju, to ostatecznie wybiorą chińskie produkty w atrakcyjniejszych cenach. I to już nie jest, jak kiedyś, „chińskie bądzie-wie”, lecz artykuły dobrej jakości.

Przeglądam ofertę w chińskim serwisie. Oprócz wielu przydatnych przedmiotów (trudno ocenić ich jakość, ale wyglądają dobrze), znalazłam również takie, które mnie roz-bawiły. To m.in. sztuczne, silikonowe tyłki do włożenia pod spodnie, które nadadzą pupie kształt, jaki mają w posiadaniu modelki ze światowych wybiegów. Miłośnikom dwóch kółek spodobać się zaś gumowe, ledowe „jądra” przypina-ne do siodełka. Dzięki temu, że dyndają i migają, to także ostrzegają. Natomiast nie będę wnikać w szczegóły, do czego posłuży panom „celownik do sikania” - każdy może się domyślić. Mogą także zdecydować się na „mini golfa do toalety” - da się zagrać, siedząc na niej. Skoro przy toalecie jesteśmy, u Chińczyków kupimy oryginalną szczotkę do WC, przypominającą... Donalda Trumpa. W serwisie znajdzie się też coś dla kierowców, którzy bardzo nie lubią być wy-przedzani, bo to szkodzi ich ego. Mowa o świecącym „faka-sie” dla samochodzary, przyklejanym do szyby. Wystarczy nacisnąć na pilocie odpowiedni znaczek, a świecący „fakas” pokaże wyprzedzają-remu to i owo. A to wszystko tanie jak barszcz.

**KOLOROWE SZNUROWADŁA TO
NIE KOSMICZNA TECHNOLOGIA,
ALE NIE JEST ŁATWO JE KUPIĆ
W POLSKICH SKLEPACH Z BUTAMI,
WIĘC PRZYLECIAŁY Z CHIN**



W marcu liczba użytkowników Temu wyniosła w Polsce 18,11 mln, a Allegro - 17,84 mln

Świnia pocąca się w saunie: sprzedano 100 tys. sztuk

Na czym polega fenomen chińskich serwisów? - pytam doktora Tomasza Marcysiaka, socjologa, wykładowcę Uniwersytetu WSB Merito w Bydgoszczy i Toruniu.

- Polacy coraz chętniej kupują na Temu.pl czy Shein, bo te portale oferują coś więcej niż tylko niższe ceny. Socjologicznie patrząc, fenomen wynika z połączenia kilku czynników. Po pierwsze, mamy do czynienia z mechanizmem natychmiastowej gratyfikacji: szybkie promocje, okazje, niskie ceny i nieustanne nowości wywołują uczucie satysfakcji, które silnie uzależnia. Po drugie, zakupy napędzane są także zjawiskiem społecznej aprobaty. Użytkownicy dzielą się zdobyczami na grupach w mediach społecznościowych, pokazując innym, że można tam kupić niemal wszystko, co akurat jest im potrzebne, a czego nie ma w lokalnych sklepach, czyli np. kolorowe sznurowadła. Jeszcze bardziej przyciąga możliwość zakupu czegoś całkowicie „odjechanego”, ekscentrycznego - wyjaśnia dr Marcysiak.

Podaje przykład, że jednym z fenomenów Temu jest T-shirt przedstawiający antropomor-

ficzną świnię pocącą się w saunie: - Produkt ten stał się wiralem w mediach społecznościowych i sprzedano go w ponad 100 tysiącach egzemplarzy. Innym przykładem jest interaktywna skarbonka ATM dla dzieci w formie bankomatu, która odtwarza dźwięki i muzykę, ucząc je oszczędzania przez zabawę. Ponadto gdzie indziej, jak nie tam, kupić żyłkę z wbudowaną wagą elektroniczną czy mały, ładowany przez USB blender do przygotowywania smoothie lub koktajli w podróży. Temu i Shein to nie tylko sklepy, to forma współczesnej rozrywki, czasem wręcz hazardu konsumpcyjnego, niskie ceny i ciągła rotacja produktów prowadzą do uzależniającego „polowania na okazje”. Fenomen przebicia Allegro przez Temu pokazuje, że polski konsument pragnie zakupów, które zapewniają mu nie tylko produkt, ale także ekscytację, przeżycie. Tym samym rodzi się pytanie o granicę między świadomą konsumpcją a uzależnieniem, które staje się realnym zagrożeniem w epoce tanich, łatwo dostępnych zakupów internetowych.

Za to teraz w chińskich serwisach może być jeszcze taniej, o czym przekonuje nas Paweł Majtkowski, znany analityk rynków finansowych z eToro. - Roz-

poczęta przez Donalda Trumpa wojna handlowa USA z Chinami może mieć paradoksalnie pozytywny skutek dla polskich konsumentów. Chińskie produkty potanieją, z wyłączeniem wybranych towarów, np. smartfonów, bo one są obecnie obłożone amerykańskim cłem w wysokości 145 proc. (mowa m.in. o popularnych iPhone'ach - red.). Jest to cło zaporowe, które praktycznie wyklucza wymianę handlową. Amerykanie tych produktów, obłożonych tak wysokim cłem, nie kupią. Chiny będą więc musiały zintensyfikować eksport towarów do swoich innych partnerów handlowych. Aby jednak szybko zacząć sprzedawać w Europie więcej, a nawet znacząco więcej, tamtejsi producenci będą zmuszeni zmniejszyć ceny. W niektórych przypadkach obniżki mogą być szczególnie znaczące i sięgnąć nawet 50 proc. To będzie też oddziaływało na ogólny poziom cen, który prawdopodobnie będzie spadać.

Co to oznacza dla konsumentów w Polsce i Unii Europejskiej? A to, że nadchodzą dobre czasy, w których na AliExpress, Shein i Temu będziemy mogli kupować po znacznie niższych cenach niż teraz. ©©

HISTORIA

Teozofowie kontra reżim komunistyczny

Kluczem do książki dr. Tomasza Kroka „Afera teozofów. Siatka wywiadowcza mjr. Andrzeja Czaykowskiego (1949-1951)” jest charyzmatyczna Rosjanka Helena Pietrowna Bławatska, która w 1875 r. założyła w Nowym Jorku Towarzystwo Teozoficzne. Zdolności parapsychiczne człowieka - głosiło Towarzystwo - mogą nie tylko zostać wyjaśnione naukowo, ale też opanowane.

Moda na okultyzm

Koncepcje madame Bławatskiej szybko stały się modne wśród europejskiej inteligencji, także w Polsce. Polskie Towarzystwo Teozoficzne, orbitujące wokół masonerii, zainicjowało działalność nie długo po odzyskaniu niepodległości i formalnie zostało włączone do międzynarodowych struktur w 1923 r.

Do inicjatorów i pierwszych członków PTT należeli m.in. Wanda Dynowska, popularyzatorka hinduizmu, a później Michał Tokarzewski-Karaszewicz, pierwszy szef Służby Zwycięstwu Polski.

PTT wydawało kwartalnik „Przegląd Teozoficzny”, uczestniczyło w międzynarodowych kongresach, prowadziło działalność edukacyjną, społeczną i szkoły letnie.

Garda cichociemny

Przenieśmy się do nocy z 16 na 17 kwietnia 1944 r., gdy 7 km od Sochaczewa wylądował na spadochronie Andrzej Rudolf Czaykowski „Garda” (1912-1953). Po aklimatyzacji przydzielony został do Komendy Głównej AK.

W powstaniu warszawskim do 15 sierpnia był zastępcą dowódcy 2 baonu „Baszty” na Mokotowie. 14 września został ranny, a dwa tygodnie później, wraz z grupą żołnierzy przeszedł kanałami do Śródmieścia. Za dzielność 1 października 1944 r. odznaczony Virtuti Militari i awansowany na stopień majora. Nie poszedł do niewoli, ale aresztowany w grudniu przez Niemców trafił do obozu Gross-Rosen, skąd wiosną wyzwolili go Amerykanie.

29 lipca 1949 r. powrócił do kraju samolotem rejsowym Londyn-Praga-Warszawa jako Tomasz Sulikowski. Zorganizował antykomunistyczną siatkę szpiegowską, którą kierował z krakowskiego mieszkania przy ul. Łobzowskiej 43/11.

Teozofki w akcji

I tu ponownie dochodzimy do wątku teozoficznego. W strukturze wywiadowczej mjr. „Gardy” kluczową rolę odgrywali członkowie PTT, w tym teozofki z jego najbliższej rodziny, które w czasach okupacji działały w organizacjach państwa podziemnego (ciotki Czaykowskiego: Zofia Wieszczycka, Stefania Siewierska, Wanda Kryńska oraz przyjaciółka rodziny - Sylwia Rzeczycka, która przyjaźniła się z Niną Andrycz, żoną Józefa Cyrankiewicza).

Misja Czaykowskiego zakończyła się katastrofą. Bezpieka wpadła na ślad siatki wiosną 1953 r. Aresztowano większość członków siatki z Czaykowskim na czele, którego 30 kwietnia Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod zarzutem szpiegostwa skazał na karę śmierci. Wyrok wykonano 10 października 1953 r. w więzieniu mokotowskim. **margra**



Tomasz Krok, „Afera teozofów. Siatka wywiadowcza mjr. Andrzeja Czaykowskiego (1949-1951)”, wyd. IPN 2025, cena 65 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

JULIA WIENIAWA

Nie miała szans

Niedawno ogłoszono, że TVP przystępuje do ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”. Wiadomo już, że w rolę Wokulskiego wcieli się Marcin Dorociński, a Łęckiej - Kamila Urzędowska. Teraz podczas rozmowy w podcaście „Wojewódzki & Kędzierski” Julia Wieniawa zdradziła, że marzyła, aby wcielić się w postać słynnej bohaterki. Do rywalizacji o rolę namawiała ją Krystyna Demska, żona Daniela Olbrychskiego. - Zadzwoń do mnie: „Julieczko, muszę ci powiedzieć, że widziałam, że wychodzi „Lalka” i uważam, że ty byłabyś perfekcyjną Izabelą Łęcką. Musisz zrobić wszystko, żeby dostać się na casting”. Zdobylam więc kontakt do producenta, umówiłam się z nim i z moją mamą. Powiedział: „Wiem, po co przyszyście, ale od półtora roku mamy już Łęcką obsadzoną”. Nie miałam szans, ale bardzo gratuluję Kamili i myślę, że zrobi to dobrze, bo jest bardzo zdolną dziewczyną - podsumowała Wieniawa.

BLANKA

Przejechała się

W minioną niedzielę młoda piosenkarka odpadła z „Tańca z gwiazdami”. Wszyscy byli tym zaskoczeni, bo do tej pory dostawała świetne noty i nawet typowano ją na zwyciężczynię show. Pojawiły się więc sugestie, że doszło do przysłówiowej „ustawki”. Pudelek postanowił zasięgnąć języka wśród pracowników Polsatu i usłyszał: - Trudno tu mówić o jakiegokolwiek „ustawce”. Ona po prostu poczuła się bardzo pewnie. Wierzyła, że udział w finale ma jak w banku, a na takiej postawie już niejedna roztańczona gwiazda nieźle się przejechała. Podczas, gdy pozostali uczestnicy wykorzystali świąteczną przerwę w emisji na szlifowanie dwóch zaprezentowanych w odcinku układów, Blanka pozwoliła sobie na spędzenie kilku dni w Nowym Jorku - podsumował informator serwisu.

DODA

Nie jest uwięziona

Podczas niedawnego koncertu z okazji tysiąclecia Korony Pol-



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Znana aktorka Ewa Gawryluk bardzo gorzko mówi o tym, jak działał show-biznes w latach 90.

skiej piosenkarka wykonała „Jaskółkę uwięzioną” z repertuaru Stana Borysa. Dzień później wyjaśniła na Instagramie dlaczego sięgnęła po tę piosenkę. „Wielu z was napisało do mnie, czemu wybrałam ten utwór skoro, gdy miałam tylko 20 lat, Stan Borys udzielił wywiadu do gazety, że takie jak ja tańczą w USA na murze. Mimo tych słów zawsze ceniłam Stana Borysa i uwielbiałam jego piosenki, a moim marzeniem od dziecka było zaśpiewać „Jaskółkę uwięzioną”. Choć dopiero jako dorosła kobieta zrozumiałam jej tekst, przesłanie i wartość - zwłaszcza w odniesieniu do jego słów. Cóż za paradoks. Choć nie musiałam nic nikomu udawać, zrobiłam to latami swojej pracy na estradzie, konsekwencją i odwagą w wyrażaniu siebie na scenie. Nie jestem uwięziona, jestem wolna. Wolna od oceny, stereotypów, szufladkowania. I Stanowi bardzo dziękuję za ten utwór - zakończyła.

MARCIN HAKIEL

Dużo chlął

Popularny tancerz bierze aktualnie udział w reality-show „Back To School. Prawdziwy egzamin”. Opowiedział w nim o tym, że kiedy urodził mu się pierwszy syn, ostro imprezował. - Takie weekendowe wysoki pomagały mi budować swoje ego. Taniec jest specyficznym sportem, jest się ocenianym, potocznie tak się mówi, że „wszyscy imprezują, to i ja imprezuję”. Dużo chlaliśmy, dzisiaj już tego nie robimy. (...) Pamiętam, że pierw-

sze lata, jak się Adam urodził, były dla mnie trudne, żeby przestawić się z życia singla, weekendowo używającego życia, na odpowiedzialnego gościa, który, jak jest potrzeba, to jest w domu. Trochę się zmieniło, jak poszedłem na terapię, zaraz będzie 13 lat. Na terapii dużo przerabiałem czegoś takiego, żeby rozmawiać z dzieckiem o emocjach - przyznał.

EWA GAWRYLUK

Nie była naiwna

Podczas niedawnej rozmowy z Żurnalistą, aktorka wspominała początki swej kariery w latach 90. - Dwa razy mi się zdarzyło otrzymać propozycję roli za seks. Nie poszłam na to i w związku z tym nie zagrałam - przyznała. A kiedy Żurnalista dopytał, jak to się odbywało, powiedziała: - No wprost: „Słuchaj, bo niektóre aktorki, żeby dostać dobrą rolę, to idą z reżyserem do łóżka”. I ja mówię: „No, ale ja tego nie robię”. I tyle, i się skończyło. „To cię odprowadzę do domu, to cię odwiezę do domu”. Ja mówię: „Nie, dziękuję”. Mnie to trochę przerażało powiem szczerze. Ja gdzieś tam zawsze w środku taka naiwna byłam i myślałam, że w tym zawodzie to się tylko zawód liczy, a nie coś innego. To było męskie kino, zresztą nadal trochę jest, ale wtedy kobieta najczęściej miała rolę, która służyła jako ozdóbka na wet. To Janda kiedyś określiła, że „aktorka jest tam po to, jako materac dla mężczyzny”. I to faktycznie coś w tym było w latach 90. - stwierdziła.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Horoskop dzienny radzi wykorzystać długi weekend na rozmowy o problemach, które dręczyły w ostatnim czasie nie tylko Ciebie.

Ryby (19.02 - 20.03)

Ktoś będzie krytycznie ocenił Twoje poczynania. Horoskop na dziś ostrzega, że może to skończyć się awanturą.

Baran (21.03 - 19.04)

Sporne kwestie będą rozstrzygane na Twoją korzyść. Horoskop dzienny na piątek mówi, że postanowisz w związku z tym pójść „po bandzie”.

Byk (20.04 - 20.05)

Drugi dzień maja minie Ci w miłej atmosferze. Horoskop dzienny mówi, że ludzie będą dla Ciebie życzliwi.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Zaangażujesz się w przedsięwzięcia realizowane przez inne osoby. Horoskop na dziś wróży, że dużo osiągniecie.

Rak (22.06 - 22.07)

Spadną na Twoje barki dodatkowe obowiązki. Horoskop dzienny na piątek ostrzega, że niektóre będą ponad Twoje siły.

Lew (23.07 - 22.08)

Na świat popatrzysz przez różowe okulary. Horoskop dzienny mówi, że będzie to przede wszystkim „zasługa” długiego weekendu.

Panna (23.08 - 22.09)

Będziesz dzisiaj kopalnią dobrych pomysłów. Horoskop na dziś zapowiada, że niektórzy Ci tego pozazdrosczą.

Waga (23.09 - 22.10)

Ktoś z grona znajomych popadnie dzisiaj w małe tarapaty. Horoskop dzienny na piątek mówi, że Twoja pomoc będzie nieodzowna.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Nie zamartwiasz się, jeśli nie wszystko będzie szło po Twojej myśli. Horoskop dzienny uspokaja, że jutro po problemach nie będzie śladu.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Nie forsuj na siłę swoich problemów. Horoskop na dziś zapowiada, że znacznie więcej osiągniesz dzięki łagodnej perswazji.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nie oceniaj ludzi na podstawie pierwszego wrażenia. Horoskop dzienny na piątek ostrzega, że takie zachowanie nie może być krzywdzące.

STOWNIK: ETAL AŻ IRRAWADI BEKI AMIADZ TEORBAN WIDONAS

ROZWIĄZANIE: ZARTY MOŻNYCH SĄ ZAWSZE DOWCIPNE.

0011322414

Dnia 27 kwietnia 2025 roku odszedł
nasz kochany, najlepszy
Ojciec i Mąż

ś†p

Kazimierz Jonkajtis

lat 85

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona
we wtorek 6 maja 2025 roku o godz. 9.00
w kościele pw. Bożego Ciała, Gdańsk-Morena.
Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia o godz. 10.30
w nowej kaplicy cmentarza Srebrzysko.

Pogrążona w smutku
Rodzina

0011322861

Panu

Ryszardowi Wróblewskiemu

i Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

Zarząd oraz Koleżanki i Koledzy
z Malteurop Polska Sp. z o.o.

0011322306

Panu

Profesorowi Marcinowi Plińskiemu

JM Rektorowi
Kaszubsko-Pomorskiej Szkoły Wyższej w Wejherowie

składamy głębokie kondolencje
z powodu śmierci

Ukochanego Syna

Roberta

W tych trudnych chwilach łączymy się w bólu
z JM Rektorem

oraz
Jego Najbliższymi,

składając
wyrazy najgłębszego współczucia,
wsparcia i otuchy.

Niech pamięć o Robercie na zawsze pozostanie żywa
w sercach wszystkich, którzy Go znali i kochali.

Senat i cała społeczność akademicka
Kaszubsko-Pomorskiej Szkoły Wyższej w Wejherowie

0011322395

W dniu 25.04.2024 odszedł do wieczności nasz przyjaciel

Stanisław Jamroź

Wyrazy współczucia
Rodzinie

składają Danka i Józef z Rodziną.

0111321977

Z głębokim smutkiem informujemy,
że w dniu 29 kwietnia 2025 r. zmarł

ś†p

Brunon Gajewski

Honorowy Prezes naszego Cechu – Człowiek wielkiej klasy,
zasłużony dla środowiska rzemieślniczego,
oddany swojej pasji i zawsze gotowy do pomocy innym.
Przez wiele lat aktywnie działał na rzecz rozwoju
naszej wspólnoty, służąc wiedzą, doświadczeniem
i życzliwością.

Jego odejście to niepowetowana strata dla całego środowiska.

Zarząd i Członkowie
Powiatowego Cechu Rzemiosł Małych i Średnich
Przedsiębiorstw w Wejherowie

Mecz Legend
z gwiazdami Lechii

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

Wielu znanych piłkarzy pojawi się w sobotę w Gdańsku podczas wydarzenia „Mecz Legend”. A nie tylko piłkarze będą zabiegać o uwagę kibiców na stadionie Polsat Plus Arena Gdańsk.

W majówkę w Gdańsku Letnicy zaroi się od osobistości ze świata sportu, show-biznesu oraz mediów. Na najwyższym miejscu znajdą się znani z występów w najlepszych europejskich klubach i reprezentacjach piłkarze. Wśród zaproszonych są chociażby były angielski obrońca Chelsea John Terry, hiszpański skrzydłowy obywatel świata Luis Javier Garcia, bułgarski napastnik Manchesteru United Dimityr Berbatow, grecki pomocnik Panathinajkosu Ateny Jorgos Karangunis, czy niemiecki napastnik Schalke 04 Gelsenkirchen Gerald Asamoah. Do Gdańska przyjadą także polscy piłkarze, a część z nich jest dobrze znana z występów w barwach Lechii. Próbkę swoich możliwości przedstawia więc na murawie m.in.: Tomasz Kuszczak, Jarosław Bieniuk, Tomasz Hajto, Tomasz Frankowski, Sławomir Peszko, Rafał Murawski, czy Tomasz Iwan.

Oprócz piłkarzy pojawią się także twórcy internetowi. Organizatorzy zaprosili m.in. Poczciwego Krzycha, Węgorza, Qeseka, Tuszola, czy Gawronka. Gośćmi specjalnymi będą iluzjonista Magic Lucas oraz stand-uper Adam van Bendler. Impreza będzie miała także ważny wymiar charytatywny, bo szczególny dzień czeka 10-letniego Wojtka Feliksa.

- Będziemy wspierali 10-letniego Wojtka, który zmagają się z niskorosłością i niedosłuchem. Nie jest to impreza stricte komercyjna. Będzie można licytować gadzety piłkarskie, a kwoty będą przeznaczone właśnie dla Wojtusia - informuje Tomasz Iwan.

Organizatorzy Meczu Legend liczą, że podczas majówki, która dla wielu Polaków jest okazją do dłuższego wypoczynku, kibice przeniosą się z plaży na stadion. To okazja, aby w jednym miejscu i czasie spotkać wielu zawodników, którzy na początku XXI wieku czarowali na boiskach całej Europy.

Niewykluczone, że wydarzenie Mecz Legend zagości na stadionie w Gdańsku nie tylko raz. Od powodzenia tego przedsięwzięcia uzależnione jest, czy organizatorzy będą zapraszać na Pomorze kolejne sławy futbolu w następnych latach.

Mecz Legend jest biletowany, a szczegóły dotyczące cen i kategorii biletów znajdują się na dedykowanej stronie internetowej - www.mecz-legend.pl.

Wydarzenie na stadionie Polsat Plus Arenaa rozpocznie się o godz. 13. Sam mecz pokazowy zaplanowany jest na godzinę 16.

© P

REKLAMA

0011246076

dziennikbałtycki.pl/nekrologi

Nekrologi,
kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych
współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl

nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

KUPIĘ udziały w nieruchomościach,
cała Polska, 518-503-404

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe suche iglaste-
190zł, osika-230zł, klon-260zł, dąb
310zł, buk-340zł - metr nasypowy
połupany z transportem, woj.
pomorskie, sprzedam tel. 723-894-857

Autopromocja

ibo TWOJE DOMOWE
BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie
zlecisz przez Internetowe Biuro
Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE- KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy,
papy, rynny, malowanie, 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane,
Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe,
Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.
sufitex.pl

TROJMIASTO-REMONTY.PL

Generalne A-z wszystkiego 698035872

ŻALUZJE. Rolety. 501-005-692

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnusy 60+ w maju od
1050 zł dostępny masaż leczniczy
/ dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem od 140zł doba,
601-585-510 www.danaustronie.pl

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlera)
odchowane, 10- 20 tyg, kaczki
i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram
zapisy. Tel. 728-104-188.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.050 zł/
tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

STARE książki- skup 881-934-948

eprasa.pl 733840d57e

Sold out na meczu Arki z Bruk-Betem. Michał Marcjanik przejdzie do historii klubu

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

14 592 osób zobaczy na żywo mecz Arki Gdynia z Bruk-Betem Termalika Nieciecza. Hitowe spotkanie zaplanowano w niedzielę na godz. 14.30.

Jeśli ktoś zwlekał z decyzją o zakupie biletu na mecz dwóch najmocniejszych ekip Betlicku 1 Ligi, to może obejść się smakiem. W środę, 30 kwietnia 2025 roku Arka Gdynia poinformowała o sold outie spotkania z ekipą Małopolski. Klub nie musiał czekać do ostatnich chwil przed meczem zaplanowanym na koniec majówki. Ranga meczu i wyczekiwanie zapewnienie sobie gry w PKO Ekstraklasie elektryzowały fanów żółto-niebieskich.

Arka Gdynia imponuje kreatywnością w zapewnieniu odpowiedniej oprawy oraz dodatków meczowych. Nie inaczej będzie także w niedzielę, 4 maja 2025 roku. Spotkanie na szczycie 1 Ligi na stadionie miejskim przy ul. Olimpijskiej



Arka Gdynia wielkimi krokami zbliża się do upragnionego awansu do krajowej elity

powiązane będzie z koncertem Orkiestry Reprezentacyjnej Marynarki Wojennej RP zakończonym Mazurkiem Dąbrowskiego, rozdawaniem flag Polski na trybunie Olimpijskiej i GOSiR oraz kotylionów na Olimpijskiej. Piłkarze na ten

mecz wyjdą w okolicznościowych, biało-czerwonych szalikach.

- W kręgu Arki Gdynia bardzo ważne jest krzewienie patriotyzmu, tego lokalnego, gdyńskiego i kaszubskiego, ale także tego związanego z naszą

ojczyzną, z Polską. Staramy się dwa razy w roku grać takie mecze patriotyczne. Jeden z nich wypada we wrześniu, bardziej na wojskowo, kiedy nawiązujemy do kampanii wrześniowej. A maj to nawiązanie do flagi, konstytucji, więc bar-

dziej na biało-czerwono. Najważniejszy jest mecz i wynik, ale istotne rzeczy działy się będą także na trybunach - wyjaśnia Paweł Bień, dyrektor operacyjny Arki Gdynia.

Zapowiadany udział największej liczby kibiców na meczu w Gdyni, czyli 14 592 osób, wiąże się z tym, aby dobrze zagospodarować czas i wcześniej pojawić się na stadionie. Apeluje o to klub, ponieważ około godziny 14.10-14.15 odśpiewany ma być hymn Polski.

- Nasza pozycja wyjściowa przed końcówką sezonu jest bardzo dobra. Ostatni krok trzeba wykonać najszybciej - mówi Dawid Szwarga, trener żółto-niebieskich.

Wielki dzień przed całym zespołem trenera Szwargi. Emocje szczególnego rodzaju będą towarzyszyć przede wszystkim Michałowi Marcjanikowi. Obrońca Arki jako czwarty piłkarz w historii klubu osiągnie granicę 300 spotkań w żółto-niebieskim trykocie. Jego oficjalny licznik meczów w Arce ruszył 23 lipca 2013 roku. Wyżej w tej klubowej hie-

rarchii są tylko Dariusz Ulanowski (422 występy w Arce), Zbigniew Bieliński (397) oraz Stanisław Gadecki (326).

- Nie będzie to może mój najważniejszy, ale na pewno ważny mecz. Jest jubileusz, ale także chcemy zrobić wszystko, aby wygrać i zapewnić sobie awans do ekstraklasy. W każdym meczu trzeba walczyć, ale myślę, że Termalica jest bardzo dobrą drużyną. A przez to może mniej będą szukali dłuższych podań, czy stałych fragmentów. Mają kreatywnych zawodników i myślę, że będą budować sobie sytuacje poprzez małą grę. Musimy się dostosować do przeciwnika, ale zawsze jesteśmy gotowi na walkę - wyjaśnia Michał Marcjanik, środkowy obrońca lidera Betlicku 1 Ligi.

Spotkanie Arki z Bruk-Betem nie będzie miało wielkiego sportowego znaczenia, o ile trzecia w tabeli Wisła Płock potknie się w meczu w Krakowie z Wisłą. Trener Szwarga zaznacza jednak, że gdynianie będą chcieli przed własną publicznością i tak wygrać. ©©

PIŁKA NOŻNA WIELKI FINAŁ „PUCHARU TYSIĄCA DRUŻYN” – 2 MAJA 2025 R., PGE NARODOWY: POGOŃ KONTRA LEGIA

Bój o wszystko. Dla kogo Puchar Polski?

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

5 milionów złotych nagrody od PZPN, gwarancja udziału w eliminacjach Ligi Europy i zapisanie się na trwałe w historii klubu - o to wszystko rozegra się dzisiaj gra w finale Pucharu Polski.

W decydującym meczu „Pucharu Tysiąca Drużyn” zmierzą się na PGE Narodowym Pogoń Szczecin i Legia Warszawa. Pierwszy gwizdek sędziego Szymona Marciniaka o godz. 16.00. Transmisjach na dwóch kanałach równocześnie.

To będzie wielkie święto polskiej piłki. Zagrają sąsiedzi z tabeli (Pogoń jest czwarta, Legia piąta), dla których to jedyna szansa na zdobycie trofeum w tym sezonie. W dwumeczu w lidze o gola lepsza okazała się drużyna ze Szczecina (1:0, 0:0), ale finał to przecież zupełnie oddzielna historia. Biletów nie ma już od dawna. Na trybunach zasiądzie niepełna 50 tysięcy widzów. Do stolicy dotrze aż 18 tys. sympatyków Pogoni. Legię ma wspierać jeszcze więcej osób,

które przemaszczą na stadion z okolic Łazienkowskiej.

Pogoń z Legią łączy przede wszystkim postać Wahana Biczachczjana. Reprezentant Armenii w zimowym okienku za milion złotych zamienił Szczecin na Warszawę. Póki co jednak bardzo rozczarowuje. Dopiero w trzynastym występie zapisał debiutancką asystę i wszystko wskazuje, że finał rozpocznie jako zmiennik. Co najciekawsze, czysto teoretycznie może ubiegać się o... dwa medale, bo jesienią pomógł Portowcom w kilku wcześniejszych fazach.

Według bukmacherów większe szanse na zwycięstwo ma Legia. Za nią przemawia też historia. Stołeczna drużyna wygrała dotąd swoje wszystkie cztery finały na PGE Narodowym, w tym ostatni rozgrywany dwa lata temu z Rakowem Częstochowa. Do niej zresztą należy rekord wszech czasów, triumfowała bowiem dwadzieścia razy (drugi w klasyfikacji Górnik Zabrze sześć razy).

Pogoń nie może poszczycić się ani jednym trofeum, choć przed nią już piąty finał. W ze-



Zawodnik Pogoni Szczecin Kamil Grosicki i Paweł Wszółek z Legii Warszawa mogą decydować o ostatecznym rozstrzygnięciu finału piłkarskiego Pucharu Polski

szłym roku mimo prowadzenia przegrała po dogrywce z pierwszoligową Wisłą Kraków. W drużynie złożonej głównie z tych samych zawodników jest wielka chęć powetowania sobie strat. - Jest ból - przyznał Kamil Grosicki w wywiadzie dla TVP Sport.

Jedni i drudzy są ostatnio w wysokiej formie. Pogoń naj-

lepiej punktuje w ekstraklasie w tym roku. Ma w składzie lidera strzelców, Efthymisa Koulourisa, który w ubiegły piątek wbił cztery bramki Puszczu Niepołomice (zwycięstwo 5:4). Ma też Pogoń lidera klasyfikacji asyst, a więc Kamila Grosickiego, który dziewięć razy obsłużył kolegów. Fanów cieszy

szczególnie dobra sytuacja kadrowa - do usług wrócił Rafał Kurzawa.

Droga Pogoni do finału okazała się nieco dłuższa. Zgodnie z tradycją ostatnich lat drużyna najpierw walczyła na drugim końcu Polski, w tym przypadku z pierwszoligową Stalą Rzeszów (3:0). Potem po do-

grywcę wyeliminowała z tego samego szczebla Odrę Opole (1:0), aż w końcu uporała się z rywalami z ligi: kolejno z Zagłębiem Lubin (4:3), Piastem Gliwice (2:0 pd.) oraz Puszczą Niepołomice (3:0).

W Legii po ograniu Chelsea (2:1) w ćwierćfinale Ligi Konferencji obowiązuje przekonanie, że nie ma rzeczy niemożliwych. Od tego zwycięstwa drużyna wygrała oba spotkania w lidze: z Lechią Gdańsk (2:1) i GKS-em Katowice (3:1). Poza kontuzjowanym Bartoszem Kapustką wszyscy są do dyspozycji Goncalo Feio. Wynik tego meczu może przesądzić o losie portugalskiego trenera w klubie.

Legia tak jak inne drużyny reprezentujące Polskę w europejskich pucharach otrzymała wolny los w I rundzie Pucharu Polski. Zaczęła od pokonania drużyn z 1 ligi, czyli Miedzi Legnica i ŁKS Łódź, a następnie - nie bez kontrowersji sędziowskich - wyrzuciła za burtę Jagiellonię Białystok (3:1) i w końcu w półfinale rozegrała najłatwiejsze spotkanie, z Ruchem Chorzów, o czym świadczą rozmiary tego zwycięstwa (5:0). ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend rozegrana została 27 kolejka w pomorskiej czwartej lidze.

Wyniki meczów w 27 kolejce w IV lidze: Supra Kwidzyn - Pomezania Malbork 2:0, Stolem Gniewino - Wikęd Luzino 0:1, Grom Nowy Staw - Pogoń Lębork 3:0, Sparta Sycewice - Chojniczanka II

Chojnice 1:1, Jaguar Gdańsk - Anioły Garczegorze 2:2, Bałtyk Gdynia - Bytovia Bytów 0:0, Wierzyca Pelplin - Czarni Pruszcz Gdański 1:1, Kolejarz Chojnice - Gryf Wejherowo 3:1, KP Starogard Gdański - Radunia Stężyca - mecz zakończył się po zamknięciu wydania gazety.

Liderem tabeli jest Wikęd Luzino, który wyprzedza Grom Nowy Staw o 14 punktów. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka Chojnice zagra o kolejne punkty

Chojniczanka Chojnice podejmie Skrę Częstochowa w meczu drugiej ligi. Spotkanie w Chojnicach rozpocznie się w sobotę o godz. 17. (stan)

Lechia wykorzysta braki Cracovii?

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Sztab szkoleniowy i piłkarze muszą wyzuczyć temat licencji ze swoich głów, a skupić się tylko na najbliższym meczu z Cracovią i utrzymaniu.

Trener John Carver ma prawo czuć ogromne rozczarowanie. Wykonuje swoją pracę bardzo dobrze i pomimo trudnej sytuacji kadrowej jest coraz bliżej utrzymania Biało-Zielonych w elicie, a funkcjonuje w klubie, w którym wiele rzeczy jest nie na tak, jak powinno. Carver miał obiecane wzmocnienia zimą, a zamiast tego Paolo Urfer załatwił zakaz transferowy. Do tego dochodzą wieczne załgłości w płatnościach pensji, a teraz ten problem z licencją.

- To trudna i dziwna sytuacja, ale skupiam się na piłce nożnej. Każdy klub piłkarski ma jakieś problemy. Może łatwiej jest mi to znieść, bo już miałem takie sytuacje i będę pewnie miał w przyszłości. Pomaga mi doświadczenie, bo widziałem już bardzo dużo w piłce. Rozmawialiśmy z piłkarzami o licencji. Nie była to

długa rozmowa. Skupiam się wyłącznie na meczu. Klub złożył odwołanie od decyzji i ludzie u góry muszą sobie z tym poradzić. Ja muszę skupić się wyłącznie na futbolu. Nasze cele się nie zmieniają - chcemy zostać w Ekstraklasie. To dla mnie najważniejsza motywacja. Jako zespół mamy wpływ tylko na to, co wydarzy się w niedzielę na boisku - powiedział trener Craver.

Szkoleniowiec Biało-Zielonych ma za sobą rozmowę z prezesem Paolo Urferem.

- W reakcji Paolo Urfera było widać nadzieję i zobaczymy, gdzie to nas zaprowadzi. Myślę, że ta decyzja nie będzie utrzymana - przyznał trener zespołu z Gdańska.

Cracovia jest zdecydowanie wyżej notowana niż Lechia i zgromadziła o 15 punktów więcej. Trzeba jednak zauważyć, że zawdzięcza to bardzo dobrej jesieni. W tym roku „Pasy” spisują się słabiej, a patrząc na mecze w roli gospodarza w tym sezonie, to tylko Śląsk Wrocław gra gorzej niż Cracovia. Drużyna z Krakowa na 15 meczów rozgrywanych u siebie wygrała tylko cztery, z czego w tym roku zaledwie jeden.



Lechia ma plan na mecz z osłabioną Cracovią

W rundzie rewanżowej „Pasy” zdobyły w sumie dwa punkty mniej niż Biało-Zieloni. Drużyna z Gdańska z kolei ma na wyjazdach serię czterech porażek z rzędu.

Warto też dodać, że za żółte kartki będzie w zespole Cracovii pauzować trzech kluczowych piłkarzy, czyli Filip Różga

oraz obrońcy Otar Kakabadze i Virgil Ghita.

- Musimy spróbować grać więcej tą stroną, gdzie będą nowi zawodnicy. Musimy zrobić wszystko, aby ich nieobecność była dla nas przewagą - mówi Carver.

Czuja w Krakowie musi być defensywa Lechii, bo czo-

łowym strzelcem Cracovii i PKO Ekstraklasy jest Benjamin Kallman. Biało-Zieloni nie będą mieli swojego najlepszego snajpera, bowiem kontuzjowany jest Benjamin Kallman.

- To wielka strata dla nas, bo Tomasz nasz najlepszy strzelec. Nie wiemy, jak długo go nie będzie, bo z każdym dniem

prognozy się zmieniają. Mam nadzieję, że wróci przed końcem sezonu, ale musi być w stu procentach zdrowy. Jego brak, to szansa dla innych zawodników. Musimy znaleźć rozwiązanie, by wygrać ten mecz. Będziemy dyskutować nad personaliami i ustawieniem, bowiem Bobcek to jedyny zawodnik o takiej charakterystyce, którego mamy w składzie. Największym wyzwaniem dla naszych środkowych obrońców do tej pory będzie gra przeciwko Kallmanowi. On przypomina mi takiego dobrego angielskiego napastnika. Będziemy musieli zmierzyć się z jego fizycznością i z tym, jak wbiega za linię obrony. Musimy być mocno skupieni, kiedy piłka będzie wpadać w pole karne. Alan Sherarer był podobnym typem zawodnika jeśli chodzi o profil. Uwielbiał wbiegać za linię obrony. Mam nadzieję, że Kallman w tym meczu nie zagra jak Sherarer - zakończył z uśmiechem Carver.

Wyjazdowy mecz Lechii Gdańsk z Cracovią rozegrany zostanie w niedzielę o godz. 14.45. Transmisja w Canal+ Sport 3.

©P

Klub z Gdańska bez licencji na grę w Ekstraklasie w sezonie 2025/26

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk jako jedyna nie otrzymała licencji na grę w PKO Ekstraklasie w sezonie 2025/26.

Drużyna Lechii spisuje się w tym roku całkiem sensownie w rozgrywkach ligowych. Wyniki są coraz lepsze, a w efekcie Biało-Zieloni - ma cztery kolejki przed końcem sezonu - wyszli ze strefy spadkowej. Zespół pod wodzą trenera Johna Carvera z całą pewnością jest w stanie utrzymać się czysto sportowo, a reszta zależy od prezesa Paolo Urfera.

Od kilkunastu dni słyszeliśmy w Lechii uspokajające zapewnienia, że w kwestii licencji wszystko będzie dobrze. Klub uregulował płatności wymagane przez podrechnik licencyjny albo zawarł konieczne umowy. Jednak Komisja do spraw Licencji Klubowych



Paolo Urfer (z prawej) nie przedstawił wiarygodnej prognozy finansowej we wniosku licencyjnym

PZPN nie dała już się nabrać na sztuczki Urfera pamiętając to, co wydarzyło się zimą. Wówczas klub z Gdańska nie miał pieniędzy na terminową spłatę raty Ruchowi Chorzów za transfer Tomasza Wójtowicza. Pieniądze dała wtedy Ekstraklasa SA potracając je z puli należnej Lechii po zakończeniu aktualnego sezonu. Urfer jednocześnie dostał poważne ostrzeżenie, bo na klub nałożono zakaz transferowy ze względu na mało wiarygodną prognozę finansową. Chodziło o to, że trzeba było przedstawić inne źródła finansowania poza pożyczkami właścicielskimi. Tak się nie stało i Lechia zimą nie mogła wzmocnić składu.

Odkąd w Lechii jest Urfer klub nie potrafił znaleźć sponsora głównego i teraz ta sytuacja też się nie zmieniła. Skoro w prognozie znowu zostały uwzględnione pożyczki właścicielskie, a nie mogło być inaczej, bo sponsora nadal nie ma,

to decyzja komisji nie może dziwić.

„Komisja postanowiła nie przyznać klubowi Lechia Gdańsk licencji upoważniającej klub do uczestnictwa w rozgrywkach PKO BP Ekstraklasy w sezonie 2025/2026 w związku z niespełnieniem kryterium F.05 (prognoza finansowa)” - tak brzmi komunikat Komisji ds. Licencji PZPN.

Zgodnie z tym wymogiem klub musi udowodnić komisji zdolność kontynuowania działalności przez okres 18 miesięcy, czyli od 31 grudnia roku kalendarzowego poprzedzającego sezon licencyjny do 30 czerwca kończącego taki sezon, czyli w tym przypadku od 31 grudnia 2024 roku do 30 czerwca 2026 roku.

Co dalej? Lechia ma pięć dni na złożenie odwołania do Komisji Odwoławczej ds. Licencji Klubowych PZPN w ciągu pięciu dni od daty otrzymania decyzji. I to jest ostatnia możli-

wość, żeby stosowną licencję otrzymać. Jeśli decyzja będzie negatywna, to Lechia zostanie przesunięta na ostatnie miejsce w tabeli PKO Ekstraklasy. To oznacza, że gdyby Biało-Zieloni sportowo byłiby poza strefą spadkową, to utrzyma się w elicie drużyna, która zajmie 16 miejsce. Klub ma co robić, bowiem złożona prognoza we wniosku licencyjnym miała być bardzo słaba.

Klub z Gdańska odniósł się do całej sytuacji.

„W nawiązaniu do decyzji Komisji ds. Licencji Klubowych PZPN informujemy, że Lechia Gdańsk rozpoczęła proces odwołania do Komisji Odwoławczej ds. Licencji Klubowych. Wniosek zostanie odpowiednio uargumentowany i uzupełniony o dodatkową dokumentację w celu otrzymania prawa do rywalizacji w Ekstraklasie w sezonie 2025/2026.” - napisała Lechia w komunikacie.

©P